Nr. 34. Warszawa, dnia 26 (14) Sierpnia 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

KOMENTARZ CZASU.

Wypadki w Aiguesmortes dla Francyi i Włoch są poważnym zatargiem i bolesną katastrofą, dla reszty świata posiadają przytem znaczenie objawowe. Robotnicy francuscy, oburzeni na włoskich za to, że współzawodniczą z nimi niższą płacą, napadli ich, zdobyli szturmem broniących się w jakimś domu, przyczem zabili 15 a poranili około 50. W takich starciach trudno o wyśledzenie istotnej prawdy, a jeszcze trudniej o trzeźwy i bezstronny sąd. Więc włosi oskarżają francuzów o pierwszą zaczepkę, a francuzi włochów, prasa zaś obu narodów naturalnie zmywa wszelką winę z rodaków. W chaosie wzajemnych zarzutów pewnem jest tylko to, że robotnicy włoscy zostali rozgromieni, że w Rzymie, Neapolu, Genui, Messynie i innych miastach z tego powodu wybuchły przez kilka dni trwające rozruchy, zwrócone przeciwko francuzom, których konsulaty znieważono. Musiała zaś nienawiść ludności, śpiewającej hymny patryotyczne i *niemieckie*, objawić się bardzo gwałtownie, skoro minister spraw wewnętrznych dał natychmiast dymisyę burmistrzowi i prefektowi policyi rzymskiej. Mniej surowo zachował się rząd francuski, jak gdyby chciał uwydatnić różnicę potęgi dwu państw. Żadnej doraźnej satysfakcyi Włochom nie dał, nakazał tylko wytoczyć śledztwo przeciwko sprawcom napadu i zabójstwa. Ale ta strona sprawy mniej nas obchodzi. Chcieliśmy głównie podkreślić wyraźny fakt wpływu antagonizmów politycznych na żywioły, które mu według powszechnego mniemania wcale nie ulegają. Słyszymy ustawicznie, że robotnicy nie przyjmują udziału w waśniach międzynarodowych i że uważają się za zbratanych i połączonych wspólnością interesów nawet wtedy, gdy należą do państw sobie wrogich. Tak np. niemieccy wielokrotnie wyrażali swe sympatye francuskim i naodwrót, podając sobie ręce przez Alzacyę i Lotaryngię. Zaciekła i krwawa walka w Aiguesmortes przekonywa nas, że owa solidarność nie zapuściła jeszcze tak głęboko korzeni, aby jej nie mogła wyrwać siła od niej widocznie większa — rozbrat polityczny. Jest to zaś tem bardziej znamienne, że pomimo niesnasek i dąsów, zachodzących między Francyą a Włochami, dwa te państwa, spokrewnione antropologicznie, nie żywią ku sobie takiej nieprzyjaźni, jak Francya i Niemcy. Jeżeli więc towarzysze jednej chorągwi w kłótni o zarobek mogli tak wpić sobie zęby i pazury, że aż krew pociekła obfitym strumieniem, to chyba trudno jeszcze mówić o ich braterstwie i jedności.

Z tego zjawiska wysnuwa się wniosek, którego nie należy przeoczyć. Wszystkie warstwy obu społeczeństw sympatyzowały z kierunkiem polityki swych rządów, oprócz radykałów, reprezentujących usposobienia ludu roboczego. Sądzono też, że lud ten, z jednej i drugiej strony miłuje się szczerze, pragnie zgody i — jak mówiono — „naturalnego“ przymierza między Francyą a Włochami. Jeżeli rzeź w Aiguesmortes wykazała, że tak nie jest, to zarówno rząd włoski, jak francuski, nawet ubolewając nad samym faktem, w głębi duszy powinny być z niego zadowolone, gdyż im dowiódł, że cały ich naród tak myśli i czuje, jak one. Nie jest to drobiazg. Dotychczas ile razy Francya urzędowa okazywała swej sąsiadce niechęć lub nieprzyjaźń, robotnicy protestowali przeciwko temu i domagali się natarczywie harmonii. Dziś ich protest nie sprawiłby żadnego kłopotu a nawet byłby wprost śmiesznym, mordercza bowiem rozprawa w Aiguesmortes pozostanie na długo poważnym argumentem przeciwko międzynarodowej łączności robotników, co najmniej francusko-włoskich. Uczucia i interesy polityczne są tam jeszcze zbyt silne, ażeby mogły zapanować nad kulturalno-ekonomicznemi.

Nie należy też pominąć jeszcze innego zadowolenia. Znalazł się i tu w kłótni dwu ów przysłowiowy trzeci, któremu ona sprawiła radość, mianowicie Niemcy. Stanowisko Włoch w trójprzymierzu było zawsze dość niepewne bądź skutkiem nadmiernych ciężarów, jakimi stosunek ten je obarczał, bądź skutkiem niewygasłych słabostek, zwłaszcza warstw zradykalizowanych, do Francyi. Wypadki w Aiguesmortes mocno zacieśniły luźny węzeł troistego sojuszu. Od czasu jego istnienia nigdy jeszcze z taką wściekłością nie złorzeczono francuzom i nie zdzierano szyldów z ich konsulatów, nigdy również z takim zapałem nie śpiewano w Rzymie hymnów niemieckich, jak obecnie. Jeżeli położenie było niezdecydowane, to teraz się wyjaśniło.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Francuskie wybory nie stały się — jak przypuszczano — burzą, oczyszczającą powietrze Izby z miazmatów moralnych. Dość powiedzieć, że w niej zasiadać będzie słynny Wilson, zięć Grevego, handlujący orderami, ażeby mieć wyobrażenie, jaką miarę przykładał naród do swych wybrańców. Niektórzy z dawnych posłów przepadli lub będą musieli jeszcze raz poddać się głosowaniu, ale ci nie należą bynajmniej do najgorszych. Dotychczas znany jest rezultat 565 wyborów. Wskazuje on, że bulanżyści stracili resztkę gruntu pod nogami, co powinno było ich spotkać dawno, gdyż jest to grupa bezsensowna, że monarchiści nieprzejednani również postradali znaczną część sympatyj, natomiast t. z. nawróceni do rzeczpospolitej zasłużyli sobie na łaskę narodu. Wogóle zwyciężył republikanizm umiarkowany, czyli ten żywioł, który najwy-

trwalej uprawia politykę interesów materyalnych, nie grzeszy żadnym sentymentalizmem i nie uważa za potrzebne śpieszyć się z reformami wewnętrznemi.

Tytaniczną walkę prowadzi Clemenceau, który będzie musiał stanąć do wyboru ściślejszego i którego wrogowie ścigają wyjątkowem prześladowaniem. Pomimo że proces Nortonowski nie ujawnił jego winy w sprawie panamskiej i nie stwierdził przekupstwa na korzyść anglików, jest on ciągle chłostany tą obelgą. Czy ona stanowi ową resztkę, która, według znanej zasady, pozostaje zawsze na człowieku po każdej kalumnii, czy też ma jakąś podstawę rzeczywistą — trudno orzec.

Zachowanie się narodu również zawiodło powszechne oczekiwania. Spodziewano się bardzo licznego napływu wyborców do urn, namiętnych walk i rozruchów, tymczasem wybory przeszły bardzo spokojnie przy dość słabym udziale narodu. Zaledwie $^2/_3$ uprawnionych stanęło do głosowania, a ten obowiązek spełnili tak leniwie, jak gdyby ich z twardego snu zbudzono do ciężkiej i niemiłej roboty. Francya tedy w swej większości okazała, że tylko gęstsze błoto panamskie jest dla niej wstrętne, że oportunizm jest jej rzetelnym wyobrazicielem, że zamierza dalej postępować i żyć według katechizmu interesów, że o żadnych przewrotach, awanturach, a nawet reformach nie myśli. Odprawiła z kwitkiem bulanżystów, monarchistów, antisemitów, po części radykałów i powierzyła 300 kilkadziesiąt mandatów stronnictwu „środka,“ które dotychczas stanowiło rdzeń w jej Izbie i duszę jej działań.

Gladstone postawił przyjęty przez Izbę gmin wniosek zamknięcia w piątek rozpraw szczegółowych nad bilem irlandzkim i poddania go głosowaniu. W chwili tedy, gdy obecny numer *Prawdy* dojdzie do rąk czytelników, los bilu będzie rozstrzygnięty, a zmęczeni długiem obradowaniem posłowie rozjadą się do domów.

Komisya skupczyny serbskiej, wyznaczona do zbadania spraw b. ministrów gabinetu liberalnego, uznała ich winę w całej rozciągłości i aktem oskarżenia postanowiła oddać ich pod sąd. W tym celu z jej członków został utworzony trybunał państwowy, który wyda wyrok, prawdopodobnie potępiający. Oskarżeni nie łudzą się nadzieją innego wyniku, przypuszczając tylko zapewne, że król ich ułaskawi.

Gazety niemieckie zaczynają bąkać, że sto milionów marek, które dopiero rząd ma wydobyć z narodu, nie wystarczy na wydatki wojskowe i trzeba będzie wypompować więcej. A ponieważ i dla tej cyfry trudno znaleźć źródło, więc przerażony Michel ciężko wzdycha nad swoją kieszenią. Skąd on tyle pieniędzy weźmie dla podtrzymania swej potęgi!

W Hiszpanii ponowiły się rozruchy, które na razie stłumiono, które jednak zdradzają stałe wrzenie w kraju.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

LEONARDO DA VINCI

(Szkic psychologiczny).

Uzielli. *Richerche intorno a Leonardo da Vinci*, 2 vol. — Gabriel Séailles *Leonardo da Vinci*

Leonardo da Vinci był dzieckiem naturalnem chłopa włoskiego i nieznanej matki. Pochodzenie to prawdopodobnie przyczyniło się do niesłychanie potężnego skupienia życia wewnętrznego, jakie nam człowiek ten przedstawia. Uśmiechy, przycinki, przekąsy „bliźnich“ nie tylko zmusiły go do zamknięcia się w sobie, ale można sądzić, iż to, co jest dziwnego i ekscentrycznego w tem życiu, wypływa z potrzeby wyniesienia się ponad otoczenie i zwyczaje, kłujące go na każdym kroku za grzech, którego nie był winowajcą. Ale Vinci nie tylko nie ugiął głowy pod plwaniem i poniżeniami, lecz przeciwnie śmiało rzucił opinii publicznej rękawicę i, nie mogąc być najbardziej szanowanym, chciał zostać najbardziej rozumnym, czarującym i — powiedzmy śmiało — genialnym. Jego geniusz wydaje się w znacznym stopniu świadomym wysiłkiem woli i inteligencyi. Jak Faust przebiegł całe koło wiadomości ludzkich i, niezadowolony z rezultatów, które zdobyli współcześni i poprzednicy, prowadził sam osobiście badania, aby rozszerzyć granice wiedzy we wszystkich jej dziedzinach. Jego prace w anatomii, mechanice, naukach przyrodniczych były na owe czasy wielkim postępem, ale co ważniejsza, na sto lat przed Baconem ściśle określił granice i metody wiedzy. Doświadczenie, indukcya, postrzeganie — oto jedyne oręże, które uważał za skuteczne w walce z naturą dla wydarcia jej tajemnic. Nikt namiętniej nie występował przeciw scholastyce i pseudo-nauce średniowiecznej. Ale bogato wyposażony umysł pozwolił mu być nietylko największym uczonym, ale zarazem i największym artystą swego czasu. Jego teoretyczne pojmowanie sztuki i dzieła czynią go jednym z ulubieńców, można by powiedzieć, mistrzem i kierownikiem większości artystów chwili obecnej. Nie wszyscy oni, rozumie się, wiedzą, gdzie się kryją źródła potężnego prądu, który ich obecnie porywa, ale to niczego nie dowodzi, albo raczej dowodzi jeszcze raz tylko przysłowiowej niewiadomości wszelkiego rodzaju sztukmistrzów. Po ostatnich orgiach naturalizmu coraz bardziej i coraz jaśniej wyłania się myśl, iż sztuka nie powinna być tylko naśladownictwem lub odtwarzaniem natury, i owszem, ona piwinna być osobistą wizyą świata, który zupełnie inaczej „suggestyonuje każdy mózg zosobna. Artysta jest marzycielem, świat jest tylko powodem do marzeń, które trzeba następnie urzeczywistniać, ucieleśniać w dźwiękach, barwach lub kamieniu. Odtwarzanie natury byłoby samo przez się rzeczą bezmyślną, gdyż nie warto powtarzać tego, co natura zrobiła już doskonałem i co najlepiej zreszą mogłaby powtórzyć fotografia. Sztuka jest dalszym rozwojem natury, a nie jej powtórzeniem, w artystach przyroda pracuje nad własnem swem udoskonaleniem i postępem, jeżeli zważymy, iż człowiek stanowi tylko jej cząstkę. Ale da Vinci spoglądał na sztukę nie tylko, jako na ucieleśnienie marzeń i suggestyi; chciał zarazem, aby ono odbywało się na podstawach czysto naukowych, pod czem trzeba rozumieć głęboką, subtelną analizę psychologiczną swych pomysłów i marzeń, a także zastosowanie wszystkich środków i metod techniki i wiedzy w ich uskutecznieniu. Nie przypadkiem więc się stało, iż Leonardo studyował anatomię, mechanikę, sztukę inżynierską, botanikę itd. W tem właśnie znaczeniu nazywał on malarstwo „nauką.“ Chciał on, aby ona wciąż była oświetlona promieniami świadomości i refleksyi, i aby w wyko-

13)

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

Zawitała wiosna; wiatr północno-zachodni odjął od ziemi ciężką swoją dłoń i wszystko odżyło.

Wrzosy odzyskały świeżość, błota oblekły się zielenią. Lwie paszcze zaiskrzyły się na wzgórzach, niby światło płonące. Bratki otworzyły łagodne, fijołkowe oczęta, niby modlące się oczy dziecięce. Pąki wypełniały się i rozkwitały; ptaszki wabiły się i zabawiały. Z błót i trzęsawisk wracały dzieci, wołając radośnie: „Czajka przyfrunęła! Matko, przyfrunęła do nas znowu czajka!“

Na miejsce wichrów północno-zachodnich i ich ciężkiej, uporczywej powagi przyszedł łagodny, swawolny podmuch wiosenny, podmuch, który szumem i gwizdaniem wypełnia wszystkie drogi, igra ze wszystkiem — z falą i kwiatkiem, liściem i trawkami, z brodą pastora, zarówno jak puklami młodych dziewczyn, z wieńcami na mogiłach i ze strojami ślubnymi. Żartobliwy ten powiew wiosenny osuszał najwilgotniejsze błota. I wszystko, co mogło rosnąć — rosło, wszystko co mogło pęcznieć — pęczniało; co zaś było chore — puszczało źdźbła, rozkwitało i płodziło niezliczoną ilość kolców i zawiązków — na własną zgubę.

Enoch walczył w imię dobrej sprawy. Ale lęk go nie opuszczał, męczył go ustawicznie myślą, że nie otrzyma może takiej łaski, aby dobrą sprawę do samego końca wywalczyć.

Ogarnął go dziwny niepokój; rzucał jedno zajęcie dla drugiego, nowości szukał bezprzestannie, jak gdyby przed własnemi uciekając myślami. Czuł się niepewnym i samotnym.

Należy tylko ufność pokładać w Bogu. Drugą ważną rzeczą jest praca. Nie szperaczy i cherlaków chce Bóg, lecz świeżych, wesołych ludzi pracy. Od dzieci swoich żądał dzieł pożytecznych; religia musi się przejawiać w czynach; lenistwo pod każdym względem jest podściołką szatana.

Enoch pracował.

Pastor skłonił go do organizowania po wsi zebrań misyonarskich. W obywatelskiem życiu dość też dostało mu się roboty; został członkiem zarządu gminnego i różnych wydziałów.

Niemniej pracował w świeckim swoim zawodzie. Do spółki z pastorem i z wójtem zaabonował gazetkę rolniczą i przekonał się, że pod niejednym względem tak ziemię swoją uprawiał, iż Bóg, chcąc nawet, pracy jego pobłogosławić nie mógł. Więc Enoch zakupił nowej konstrukcyi pługi i brony i zaczął używać wszystkiego, co dotychczas potępiał.

Lato było dobre, dość dżdżyste, ciepłe i słoneczne.

Aksamitno-brunatne, błyszczące żyto kołysało się w powiewie letnim. Owies kładł się prawie na ziemi, soczysty, ciemno-zielony, z lekkim odcieniem niebieskim. A łąka rozesłała się śmiałkami pastewnymi, szczawiem, drżączką niby delikatna chusta jedwabna, o blado-czerwonych centkach, przecięta tu i owdzie lazurowym zagonem dzwonków lub też jasnemi plamami kminku i śnieżno-białem kwieciem baldryanu.

Pasza, miękka, delikatna, niby bawełna, pokryła wszystkie grunta błotne, mieszając się z bladą, jak krepa lekką, białą i blado-liliową barwą tysiąca milionów bobrków trójlistnych; nawet jezioro zieleniło się sitowiem, a na wodach jego, między szerokimi liśćmi płynęły żółte i białe lilie; wszystko rosło i kwitło wszędzie. Ziemia była jak łono matki, zapłodnione i wypełnione przez twórczą wszechpotęgę.

Dobrze było wymknąć się w tym czasie ze stęchłej izby i z jej pyłu na świat boży;

naniu kierowała się ściśle wskazówkami nauki. Leonardo da Vinci był pierwszym „marzycielem ścisłym“, czego następnie dobijał się poniekąd Goethe, a w zupełności dopiero Stendhal. Obecnie jest to cel wszystkich artystów, godnych tego tytułu.

Po za uczonym, po za artystą znajdujemy wszakże w Vincim otchłanie niezgłębione, tajemnicze, które zostawiły nieznaczny swój odblask w jego dziełach. Mamy tu inteligencyę pierwszorzędną i w pełnem tego słowa znaczeniu zdrową, fantazyę potężną i twórczą, która zdolna jest przewyższyć rzeczywistość i wydać nowy świat rozkosznych marzeń, odzianych w najwspanialsze blaski, ale uczuciowość mistrza nie wydaje się ani normalną ani jednolitą. U ludzi normalnych brak pewnego uczucia odbija się odrazu na ich działalności lub twórczości. Gdy Peragin stracił wiarę, płótna jego odrazu to odczuły: dla pieniędzy malował wprawdzie i po tym przełomie moralnym rzeczy religijne, ale jego pędzel kłamał i wprawne oko z łatwością chwyta nieszczęśliwca na uczynku. Tymczasem Leonardo da Vinci, niedowiarek, tworzy „Wieczerzę Pańską,“ która jest najczystszym zdrojem wiary — cały świat chrześciański przychodzi tu odświeżać ze skupieniem swe uczucia. Jak to objaśnić? Psychologia artystów daje nam na każdym kroku luźne przykłady zerwania ciągłości i jednolitości w uczuciach: gdy obok łańcucha stanów duchowych charakteryzujących człowieka wiedzy i niedowiarka istnieje inny, niezależny od pierwszego z odcieniem manii religijnej. Oba te stany mogą istnieć w jednym duchu, co przybliża się w mniejszym lub większym stopniu do rozdwojenia osobowości. Ale jest inne jeszcze wyjście, wprawdzie hypotetyczne, któreby wszakże było daleko przyjemniej upatrywać w danym wypadku. A mianowicie: zbytni rozwój analizy, świadomości we wszelkich formach ma zwykle za skutek zabicie bezpośredniej natury, uczucia, instynktu, wiary, natchnienia; jest to zjawisko bardzo dobrze znane w psychologii, które sprawdzić można głównie na osobach zajmujących się samoanalizą. Występuje jednak pytanie, czemu psychologia nie mogłaby sobie stawiać zadań syntetycznych na wzór chemii, która nie zadawala się rozkładem ciał złożonych na części składowe, ale stara się z czynników prostych odtwarzać pierwsze; z tego punktu widzenia możnaby zrozumieć, jak sceptyk, niedowiarek, analityk, mógłby odtwarzać w sobie świadomym wysiłkiem woli, w sposób zupełnie sztuczny wiarę i uczucie. Nie ulega wątpliwości, iż nauka znajduje się na tej drodze i że człowiek, zapanowawszy nad światem zewnętrznym, zapanuje z czasem i nad wewnętrznym. Obecnie uczucia rodzą się i przechodzą w nas prawie bez naszego udziału: miłość, wiara itd. wszystko to zastaje nas tylež bezbronnych, co huragan lub ospa. Gdy psychologia zdobędzie rozwój nauki ścisłej, człowiek będzie w zupełności panem swych uczuć, będzie je gasił lub rozpalał i utrzymywał w stopniu żądanego natężenia. Wówczas sprawdzi się obietnica: „scientes omnia eritis sicut Deus in coelis.“ Leonardo da Vinci miał niewątpliwie przeczucie tego stanu. W swym *Traktacie o malarstwie* mówi on: „Potęgą wiedzy artysta staje się Bogiem.“

Wprawdzie psychologia ani obecnie, ani tem bardziej za czasów Leonarda da Vinci nie doszła do tego stopnia rozwoju, ale czemuż nie można byłoby przypuszczać, iż tego rodzaju „dusze wybrane“ (âmes d'élite) nie mogą rozstrzygać w sposób empiryczny zadań, dla których naukowego rozstrzygnięcia jeszcze nie mamy? Byłoby to udziałem tylko geniuszów, którzy w takim razie występowaliby przed nami nie jako objawy wspaniałej choroby, lecz przeciwnie jako przestraszająca potęga życia i zdrowia, jako harmonia wszystkich władz ducha, znajdujących się pod zwierzchniem kierownictwem świadomości i „wolnej“ woli. Tylko w ten sposób można zrozumieć, jak ten niedowiarek L. da Vinci mógł stworzyć „Wieczerzę pańską“ i swe Madonny, w których umie pomieszczać nieskończoność duszy, wyłaniającą się z myśli spokojnych i uczuć czystych, zawartych w ścisłości rysów oblicza. Z pod opuszczonych ich powiek wygląda światło wewnętrzne, usta wydają się uśmiechać echom oddalonych myśli, dusza bezgraniczna przypływa do twarzy: wzbudzenie tych potężnych wrażeń jest tajemnicą Leonarda. Zresztą umie on oddawać nietylko dusze czyste i święte, ale i inne, niespokojne, dziwne, zagadkowe. Jest np. obraz nieznanej kobiety, który posłużył za typ Herodyad dla szkoły medyolańskiej: twarz energiczna i rozkazująca, oko o złowrogim blasku stali ma siłę niepokojącą, nozdrza drżą, usta wybornego rysunku są rozkoszne aż do okrucieństwa, a włosy spadają falami na ramiona, jakby wstrząsane wiatrem gniewu. Jakie marzenia, jakie kaprysy, jakie boleści lub jakie rozkosze stworzyły tę dziwną piękność, wygnankę szczęścia? Toż samo powiedzieć można o słynnej *Jocondzie* i o „la belle Feronière“ z Louvre'u, przed którą widz staje w zdumieniu, zapytując, dzięki jakiej tajemnicy zlewają się gorączka i obojętność na tem świetlanem obliczu, jakich rozkoszy pamięć i znużenie zachowuje w sobie to wielkie oko, jakie obrazy, myśli niejasne, nadzieje i żądze w niem się unoszą? Siłą wyrazu Leonardo daje nam żywe osoby, które przykuwają nietylko uwagę, ale często i serce. „Sławą malarza — powiadał—jest tworzyć istoty, które wzbudzają miłość.“ Właśnie takiemi są te dziwne kobiety, w których wdzięk łączy się z okrutnością, a czułość z ironią; one zstępują niepostrzeżenie z wyobraźni do serca i tam rozpalają namiętność, żywioną strachem, niepokojem, zagadką. Była masa wypadków tej nieszczęśliwej miłości. Co za różnica między Vincim, Raphaelem i M. Aniołem! W porównaniu z Madonnami Leonarda Madonny Raphaela są beztreściwe, mówią one tylko to, co chcą powiedzieć: jest to czar poranku wiosennego, pełen wdzięku, bez zgryzot. M. Anioł przedłuża linie, targa je, wydyma, aby urzeczywistnić swe sny pełne zemsty, gniewu i heroizmu. Jest to potężna wymowa, bez żadnych niedomówień. Umieszcza on istoty nadludzkie na idealnych wyżynach, dokąd nie dochodzą szmery świata i gdzie można się upierać we wzniosłem osamotnieniu. U Leonarda natomiast każda twarz odbija echa wszystkich boleści i rozkoszy tego świata. Są to oblicza delikatne lub brutalne, dobre lub przewrotne, ale we wszystkich po za życiem powierzchownem świadomości można rozpoznać nieskończoność wrażeń niejasnych, otchłań życia, które się tylko przeczuwa, zagadka tajemna, która przykuwa wzrok i przedłuża marzenie. Bogactwo to pochodzi, rozumie się, stąd, iż w obrazach tych zawiera się dusza samego malarza, z całą jej złożonością, dusza uczonego i artysty, które się nawzajem przenikają. Nikt nie posiadał więcej inteligencyi w uczuciu, nikt nie zbliżył bardziej marzenia do myśli. Ta pełnia i wszechstronność życia duchowego, wyrażone w obrazach, stanowią styl osobisty Leonarda. Zarzucają mu, iż analizą zabijał w sobie uczucie, iż nauką niszczył na-

---

zdarzało się nawet w niedzielę, że Enoch odkładał Biblię i wychodził, aby „wielbić Boga w przyrodzie.“ A kuropatwy cierkały po wszystkich łąkach, a grubodzioby mlaskały i gadała pliszka; wszelkiego rodzaju ptactwo gwizdało i wołało; świat, niby kościół, był pieśni pełen; wszystko świergotało i weseliło się. I Enoch usiłował „widzieć we wszystkiem Boga.“ Kochał nie przyrodę, lecz — w niej Boga.

Ten swój szmat ziemi miłował. — Nie moje to, nie moje — szeptał w duchu; własność to ojca niebieskiego. Gdyby Bóg zażądał, żeby to wszystko sprzedać i... Cicho, śpiesznie, nie kończąc, myśl tę rzucał.

Wieczór zapadał w miękkich odcieniach na wzgórza i schyłki. Z grzbietu morza słońce rzucało blaski na całą ziemię; łąki iskrzyły się, jakby dyamentami posiane. Lecz blask ten zgasł z chwilą, kiedy zaszło słońce. Nad ziemią legł spokój, tak głęboki, jak gdyby czarem rzucony. Enoch słyszał szum wszystkich strumieni, tętno własnego serca. Białe opary wznosiły i kładły się nad bagna, niby fale z marzeń utkane. Pojedyncze jakieś, spokojne wołanie czajki, pogwizd ptaków błotnych gdzieś — w oddali. Z miedz — głosy owiec beczących — rzekłbyś słodkie, rzewne płakanie. Niżej, nizko kilka szybujących w przestrzeni kacząt.

Spokój, spokój. Nieskończony spokój. Tylko nie w sercu Enocha.

Czuł się tu niekiedy tak obcym, chodził jak wyklęty, jak zatraceniec, jak Kain. O kim pomyślał, gdziekolwiek się zwrócił — nikogo, przy kim by mógł spocząć, do kogo mógłby się udać. Obcym był we własnym swoim domu. Nie towarzyszył mu nikt, gdy wychodził; nie oczekiwał nikt, gdy wracał; gdy przestępował próg, znikali; rzekłbyś, że się go bano. Od własnych nawet dzieci wydobyć nie mógł uprzejmego słowa, nie mógł, choćby je na klęczkach o nie prosił. Na nic się zdało, gdy usiłował mówić z nimi o rzeczach świeckich, o figlach i błahostkach — a myślał, że to lubią — na nic! Były, jakby onieśmielone; wstydziły się; każde marno „tak“ i „nie“ formalnie wyciągać z nich musiał; nie widziały, że szuka ich, że ich potrzebuje. Czyżby je od siebie odstraszył? A jednak żył przecież tylko według słowa bożego.

A Anna, biedaczka...

Było to pewnej niedzieli. Enoch powrócił z kościoła i przyszła mu chęć posiedzenia trochę w pokoju, dla spoczynku i gawędki, jak to za dawnych bywało czasów; lecz wszyscy byli zimni, milczący. Dzieci spoglądały na siebie z ukosa i dziwić się zdawały, że ojciec jeszcze nie wychodzi... Enocha ogarnęło przykre uczucie, wydało mu się, że im przeszkadza. Rzucił dokoła wzrokiem, który wprost wyrażał błaganie; lecz wszyscy pozostali zimni, w sobie zamknięci, nikt go tu nie potrzebował. Wtedy twarz jego przybrała wyraz zupełnie odmienny. Podniósł się, wziął kapelusz i wyszedł. Zaledwie drzwi za sobą zamknął; dzieci w pokoju śmiać się zaczęły...

Ach, tak, tak!

Szedł wokoło, wciąż wokoło; nic nie widział; wszystko wydawało mu się złem i ciężkiem.

Dziś nadto pozwolił był Gunnarowi nie pójść do kościoła. Ale taka za to podzięka... Nic nie pomagało, choćby, Bóg wie jak był uprzejmym choćby wbrew woli bożej działał, byleby się im przypodobać; nienawidzili go; on, on sam, był im wszędzie zawadą.

Na niebie — tu i owdzie — rozłożyły się kępki chmur, po łące sunęły mgliste cienie, niby błędne wyspy — wygnanki, złe, niby ciemne myśli. Godziny mijały i Enoch szedł przez błota i bagna, nie wiedząc, że idzie. Dokądże miał pójść właściwie? W końcu stanął nad jeziorem Heialandskiem. Drgnął; jakaż myśl szpetna tu go pociągnęła? Śpiesznie odwrócił się. Mrok zaczynał już zapadać. Ale do domu wracać nie miał chęci.

Po całem pastwisku rozlegało się wołanie sójki. Czajka, tu i owdzie spłoszona, w milczeniu okrążała go, szeleszcząc skrzydłami lub też nagłym zwrotem spuszczała się na kark jego, jak gdyby chcąc go wystraszyć; sprawiało to jakiś dźwięk twardy,

tchnienie i dlatego zostawił po sobie bardzo mało rzeczy wykończonych. Rozumie się, tego rodzaju mistrz nie może być ani płodnym, ani obfitym, alež zasługa jego dzieł nie polega bynajmniej na ilości, lecz na tem głębokiem przeniknięciu natchnienia i refleksyi, uczucia obmyślonego i myśli odczutej, wcielonych wysiłkiem woli kierowanej nauką. Nie zarzucajmy więc Leonardowi tego, co jest główną jego zasługą. Tajemnica jego dzieł zawiera się w tej subtelnej mieszaninie fantazyi i obserwacyi rozróżnienia i analizy. Zapożyczając od natury i nauki wszystkie wyniki swej pracy, łączy je podług kaprysu swej fantazyi i śmiałej wynalazczości. Jasność jego inteligencyi jest nieodłączna od subtelnych wrażeń i wyszukanych uczuć, ale nie przyćmiona przez to. Marzenie innych ludzi złożone jest zwykle z form nieokreślonych, z odbrzasków, jego marzenie jest bogactwem myśli jasnych, które posiada wszystkie naraz. Sztuka jest marzeniem urzeczywistnionem w sposób ściśle naukowy. Iść w kierunku natury, ale dalej, niż ona, oto jest cel. Jest to ambicya Prometeusza o krwi zimnej, który zamiast urągać Jowiszowi, stara się ukraść mu jego grzmot. Wszystkie szczegóły jego obrazów są ściśle naukowo spostrzeżone i obliczone, ale całość jest zwykle fikcyą czysto fantastyczną. Te rysy sztuki Leonarda świetnie oddają stan jego ducha, z tendencyami analitycznemi. Pociągało go wszystko, co jest zmienne, znikome, nikłe. Nikt lepiej nie oddawał złożoności duchowej, przejścia i mieszaniny uczuć najsprzeczniejszych. Nienawidził natomiast absolutu, pewności, wszystkiego, co jasne i określone. Dlatego też opuszczał tony gorące i natężone, lubił natomiast półtony i odcienia. Jest to raczej człowiek północy, niż południa o ideach wyraźnych. Tylko zrzadka i wielkim wysiłkiem woli tworzył dzieło czysto syntetyczne. Dla tego też powodu nie był wybitnym dworakiem i intrygantem u dworu Sporzy. Do polityki się nie mieszał, a był bardziej subtelny, niż dowcipny, miał więcej głębokości, niż werwy. Ale posiadał temperament artysty i smak wielkiego pana — drobnomieszczańskie cnoty współrodaków nie mogły pociągnąć tej natury, w której moralne i religijne uczucia nigdy wielkim ogniem nie buchały. Trzeba mu było natomiast wrażeń subtelnych i wyszukanych, towarzystwa delikatnego i sceptycznego, złota, kobiet i sławy. Wszystko to znalazł u dworu Ludwika Mora.

L. W.

MALARSTWO.

Naprzód garść uwag ogólnych.

Gdyby kto zechciał zrobić obrachunek zysków i strat, poniesionych przez sztukę z winy nowych kierowników w malarstwie, musiałby podkreślić dwa wyniki. Jeden, dodatni, polega na tem, że ludziska dużo się dzięki nim uśmieli, mnóstwo zrobili dowcipów i dużo narozprawiali się ze znajomością rzeczy i przypominającą kurę wobec pieprzu; drugi zaś, ujemny, tkwi w przykrym dla malarza obowiązku dążenia wciąż naprzód i naprzód i poszukiwania coraz to nowych zadań i celów. Dawniej można sobie było siedzieć spokojnie na pewnym raz obranym rodzaju, jak na wygodnej synekurze, dzisiaj jakieś licho każe wciąż zrywać się z miejsca i wyglądać przez okno na świat boży, czy tam przypadkiem nie wynalazł ktoś nowych środków techniki, czy nie podpatrzył nowej właściwości w naturze, czy nie odkrył nowej kopalni pomysłów.

Zawód malarza stał się trudnym i gorączkowym. Artyści choćby nawet wyszli już z lat młodzieńczych, rzucają się, próbują, no i w takiej sztuce całkiem doświadczalnej i umysłowej, stwarzają nieraz rzeczy piękne. Weźmy np. dzisiejszą kolorystykę. Bywa ona czasem zabawna, ale niekiedy sprawia niespodzianki najpoważniejsze. Dzięki kilku mistrzom, którzy nauczyli nas kochać orgię kolorów — kto wie, może dzięki romantykom w rodzaju Delacroix — malarstwo zaczęło się domagać od natury samej barw żywych, a trochę oślepiających. A że ona nie lubi nic robić na zawołanie i nie chce przystrajać się na rozkaz w całą tę bogatą gamę świateł, o które artyście chodzi, więc poradził sobie w ten sposób, że ją ukostiumował, przebrał i upiększył. Nie ma co mówić, obrazy z ostatnich lat czują wprawdzie naturę jak żadne dawniejsze, ale ją idealizują.

To nieraz dziwi przeciętnego widza, ajednak dziwić nie powinno. Dobry malarz musi nosić w swej wyobraźni symfonie majaczejących barw i kształtów i musi łaknąć ich wyzewnętrznienia na płótno, tak jak dobry pisarz musi starać się o możliwe bogactwo swego języka i rozmaitość efektów. Jeżeli ogrodnik bez pasyi kolorystycznej nie podoba się nam, to jakże może nas zachwycić malarz, zakochany w szarym sosie lub w brunatnych, nieodstępnych refleksach, albo w zieleni tak szczelnie pokrywającej cały obraz, że oko zaczyna uczuwać głód dopełnień. Zresztą w umyśle pewne władze i zdolności chadzają kupą, namiętność do barwnych plam w wielkiej ilości i na mnóstwie delikatnych odcieni prawie zawsze świadczy o bujnem, żywotnem usposobieniu, znamionuje siłę w malarzu, a kto wie, może i w pospolitym śmiertelnym. Inaczej nigdy nie będzie, człowiek pragnie być odbiciem przyrody, a przyroda posażna i wydajna, potężna i soczysta zawsze błyszczy, mieni się i olśniewa.

Możnaby bez obawy błędu w ten sposób określić zasadę dzisiejszych malarzy „postępowych“: „Należy odtwarzać naturę jaknajwiększą ilością barw,“ czyli że nawet wtedy, gdy ona wydaje się jednostajną i szarą, wybrać za wszelką cenę błąkającą się po niej grę świateł. Jedni są w tych usiłowaniach szczęśliwi, albo też posiadają dar autosuggestyi, *przesadzającej* leciutkie ślady zabarwienia i wówczas kolory na ich obrazach nie mają nic przypadkowego, są uwarunkowane pewną regułą; inni znów kładą liczne i piękne farby całkiem z pamięci i wtedy obraz ma słodycz albo jaskrawość bez szczerości, niekiedy zatrącając nawet o blagę.

Do pierwszych należy Podkowiński, Pankiewicz, Fałat, który zdaje się być mało przystępnym doktrynie świadomej, ale potwierdza ją mistrzowsko ogromną swobodą i śmiałością w malowaniu np. twarzy dziwacznymi a jednak doskonale usprawiedliwionymi kolorami. Jest to bądź co bądź szkoła przyszłości, jak to można widzieć z prób podpisanych nazwiskami nowemi. Taka głowa p. Slewińskiego na wystawie Zachęty, oświetlona wprawdzie wdzięcznie, bo sztucznie, zastanawia nadzwyczajną wypukłością i życiem, któremu tylko słów brak. Sumiennie tę metodę stosując, doszedł też do świetnego rezultatu Wyczółkowski w swojej „Orce.“

Warto jej poświęcić parę słów. Wczesnym rankiem, gdy słonko jeszcze bardzo nisko na niebie, cały łańcuch pługów zaprzężonych w woły orze ziemię. Jest tego

---

gwałtowny, rzekłbyś, że to szum lotu złych duchów.

Na północy, na wschodzie, wszędzie i nigdzie, niewidocznie, tajemniczo bekas beczał pustym, zimnym swoim śmiechem. Z jeziora słychać było złowrogie krzyki, obce ptaki, których oko nigdy nie widziało, wyrzucały z łąki dzikie szalone jęki.

Czyżby tu duchy wyklęte straszyły? Czyżby wśród bezsennych nocy okropnym urywanym głosem upiorów opowiadać tu miały o śmierci i sądzie ostatecznym?

A te wielkie, czarne ptaki, co to tak ciężkim wznosiły się lotem i tak ponuro milczały... to chyba dusze, które nie mogły uwolnić się od rzeczy ziemskich. Czciciele mamony, którzy za karę brodzić muszą po błotach i bagnach, do gniazd swoich ściągać robactwo, ziemię, trawę, plewy i wszelkiego rodzaju plugastwo — jak w życiu doczesnem nasycić się bogactwem nie umieli. Może wszystkie ptaki duchami były? Ta ludarka, co to tak samotnie gwiżdżąc, siedziała na wzgórzu, śród wrzosu, to pewnie dusza, która na ziemi w rozkoszach miłości grzeszny wiodła żywot, a oto teraz na samotność i wieczny niepokój była skazaną za to, że człowieka bóstwem swojem czyniła; zaś czajki — to matki zapewne, które dzieci swoje zanadto kochały — a oto do dnia sądnego w przestworzu szybować musiały i krzyczeć musiały i jęczeć, jaj szukając, które im zabrali chłopcy. Głupstwo! A piekło czyż nie gorsze? Więcej, cierpieć musieli wszyscy niewolnicy ziemi i bałwochwalcy...

Słońce zaszło. Na północy pozostawiło, jak krew czerwony ogon płomienny. Na zachodzie, dla spoczynku rozsypały się błękitne obłoczki wieczorne, wyraźnie, czysto odgraniczone, niby wyspy na jasnozielonem morzu niebios. Ponad łąkami na południu wznosiły się lekkie, szare, mgliste opary.

Wtem na południo-wschodzie zapłonęło jakieś światło. Z po za chmurnej zasłony wyjrzało blado, nieruchome, niby chora źrenica.

To gwiazda, krew zwiastująca! Wojnę i zarazę, śmierć nieprzewidzianą, szybką, nagłą... Boże dopomóż.

Enoch śpiesznie zaczął wracać do domu. Wracał bez spokoju, bez spokoju nazewnątrz i nawewnątrz...

XIX.

Minął dzień konfirmacyi Gunnara.

A teraz wkrótce powinie nadejdzie list od Carolusa. Chłopak wyglądał cygana Tomasza od rana do wieczora, codziennie i każdej godziny. Gdy zaś przyjdą listy, poczeka tylko na noc, kiedy wszyscy spać będą, a potem do miasta i coprędzej na pokład; później niech go szukają! A potem na morze, na szerokie, dalekie morze, kto wie, czy nie do samej Arabii...

Gunnar długo jednak na list czekać musiał. W czasie jarmarku dowiedział się wreszcie, że Carolus powrócił. Przez osiem dni Gunnar bezprzestannie tęsknił do niego.

Pewnego dnia wymknął się z domu i przez łąki pobiegł na południe, do chaty cygańskiej.

Przy powitaniu obaj pokraśnieli, obaj byli jacyś nieśmieli. Gunnar prawie że Carolusa nie poznał.

Cygan wyrósł i zmężniał niezmiernie. A pięknym był w tym swoim stroju majtka, mimo że tyftykowa bluza spełzła od słońca, a spodnie z płótna żaglowego niemałemi świeciły łatami. Nabrał czegoś obcego, jakby egzotycznego. A jaki miał polot w mowie! Gunnar wstydził się wprost swojej biednej, chłopskiej gwary.

Według zwyczaju majtków w uszach nosił kolczyki, na ręce zaś, nad dużym palcem — niebieski znak: kotwicę i serce; poniżej litery: C. M. T., aby go było można poznać, gdy na morzu zginie — objaśniał. Na piersiach zaś wytatuowano mu cały okręt, a na ramieniu — dziewczynę.

Rozmowa szła jakoś słabo. Gunnar nie śmiał przejść zbyt nagle do swego tematu, Carolus zaś ociągał się z wypowiedzeniem prawdy. Nadto przykro było siedzieć w tej chacie cygańskiej, czarnej, brzydkiej, pełnej plugastwa; dzieciaki były natrętne i niegrzeczne, matka, Gunhilda, kręciła,

moc wielka i ta długa zbita masa zwierząt i ludzi stanowi motyw nader oryginalny i prosty zarazem. Na lewo i na prawo szerokie i ciągnące się w nieskończoną dal zagony, już zorane, karbowy stoi z boku i dozoruje robotę: oto wszystko. Ale w tych skromnych ramach ściele się obraz pełen prawdy, poezyi i świeżości. Skiba po prostu pachnie swą wilgotną tak dobrze znajomą wonią, powietrze jeszcze surowe i również wilgotne napełnia lekkim oparem wszystkie bruzdy i rowki śród grzędy i uwydatnia wydechaną przez woły parę. Skośne, prawie poziome promienie słońca ozłacają grzbietki grudy, rzekłbyś, ślizgają się po krawędziach, nie dotykając wklęsłości, otulonych jeszcze nocą. Ten rozkład świateł i cieniów, nader pracowity i dokładny, sprawia, że wybornie odczuwamy działanie i położenie słońca, doznając złudzenia, że sami jesteśmy na polu. Rozumie się, że chwila, w której poniekąd walczą jeszcze ze sobą dwie pory, nastręcza mnóstwo niespodzianych efektów kolorystycznych; połączenie żółtego światła słonecznego z czekoladowym tonem gleby daje mnóstwo odcieni; wszystkie przedmioty są z dwu stron oświetlone odmiennie, np. woły są z jednej strony żółte, z drugiej, zwróconej na zachód, matowo sine. Pole więc do przesady i improwizacyi było rozległe, ale snadź artysta zbadał moment dokładnie, podpatrzył go sumiennie i skoloryzował konsekwentnie, skoro w pewnem oddaleniu widziane płótno zachwyca prawdą ogólną, wyzyskującą na swą korzyść wszystkie pojedyncze drobiazgi i wielką poezyą szerokiej, biegnącej w dal przestrzeni.

Z tego gruntu pewnego, na którym ma się do czynienia ze sztuką, rozumiejącą swe pragnienia, dość gwałtowne będzie przejście do nieuchwytnych mgieł fantazyi i mistycyzmu. A oto właśnie znalazły one świeżego wyznawcę w osobie p. Jabłczyńskiego, o którego aż podobno toczono spory w Towarzystwie Zachęty. Zdaje się, że wszelkie próby, bodaj najbardziej tchnące młodocianą zieleninką, nie powinny doznawać utrudnień przy wstępie do Salonu, jeśli tylko nie są jawną niedorzecznością. O „Urywku z bajki“ nie stanowczo potępiającego wyrzec nie można. Jest to śpiąca głowa dziewicy, nie tak bardzo znów zagadkowa, jakby się zdawało zasadniczym wrogom podobnego rodzaju pomysłów. Przypomina ona coś niby śpiącą zaczarowanym snem królewnę, w jej rysach i trochę tajemniczym profilu czuć pewne napomknienia; niektóre szczegóły, jak usta, rozmyślnie wydelikacone do przesady i jak gdyby uśmiechnięte, odbijają na niej coś w rodzaju fantazyi ludowej, przedstawiającej sobie zaklęcie i królewskość w pewien osobliwy sposób. Słowem, ta lakoniczna głowa poddaje, suggestyonuje pewne wrażenia i półświadome skojarzenia pojęć i wspomnień i to samo już ją ocala od zarzutu bezmyślności. Inna sprawa, czy to utwór przyjemny dla oka i nerwów. Powiedziałbym wprost, że nie, a to dlatego, że czy świadomie, czy mimo woli malarza trąci woskiem, a może i trupem. Prędzej jest to wynik założenia świadomego, ale jeszcze prędzej, a nawet na pewno — rezultat naśladowania poetyckiego symbolizmu. Tu właśnie tkwi jądro kwestyi, godnej poruszenia, bo sam debiut p. Jabłczyńskiego ostatecznie jest błahostką.

Proszę posłuchać pierwszego z brzega urywka: „Pod zaklęciem mego pocałunku zostaniesz wiecznie! Ukochasz to, co ja kocham i co mnie kocha! Ukochasz wodę, obłoki, milczenie i noc; morze wielkie a zielone; wody bezkształtne i wielokształtne; kraj, w którym przebywać nie będziesz; kochanka, którego nie będziesz znała; kwiaty potworne; zapachy, co odurzają; koty, które mdleją na fortepianach, jęcząc jak kobiety żałośnie a łagodnie... I pokochają cię moi kochankowie i dworować ci będą moi dworacy. Będziesz królową ludu o źrenicach zielonych...“ itd. Wziąłem te słowa z jakiegoś przekładu Baudelaire'a *). Dobrze by też pasowały do głowy p. Jabł. urywki z *Intruza* lub *Księżniczki Maleny* Maeterlincka, albo z *Domu Usherów* i *Monosa i Uny* Edgara Poego. A ta ich odpowiedniość świadczy najwymowniej, że młody malarz lubi udusone księżniczki, Usterówne, wychodzące z trumny itp. Czyli że wprowadza on do malarstwa dekadentyzm poetycki. To pozwala rozstrzygnąć wspomnianą kwestyę: na wszelką cudaczność i oryginalność zgodzić się można, ale nie na flancowanie niesmacznych, naciąganych motywów z jednej dziedziny sztuki do drugiej, bo to — zaprzeczenie oryginalności. A smak wosku i trupa w kolorze głowy p. J. jest przykrym i odstręczającym.

I Podkowiński lubi symbolikę, jak w owem zakrwawionem sercu. Ale jest on oryginalnym, samorodnym, indywidualnym.

„Demon zadumany,“ również pędzla p. Jabł. (wisi w salonie Krywulta), to także nieoryginalna ilustracya do czegoś znanego z literatury. Znamionuje i on pewne zalety, a mianowicie dużą łatwość osiągania wyrazu, o który artyście chodziło; jest to bowiem w rzeczy samej knujący zemstę Mefistofeles albo Lucyfer ziejący obelgę, ale temat sam tak już spowszechniał, tyle naponiewierał się po wszystkich scenach, tak się stał bezgranicznie płytkim i tak płytko i banalnie został pojętym przez p. Jabł., że żadne niebezpieczeństwo wprowadzenia fantastyczności do malarstwa z tej strony nie grozi. W dodatku demon ten wygląda z daleka, dzięki kolorytowi roślinno-zielonemu, jak wielka głowa kapusty i kto wie, czy nie dla zatarcia tego podobieństwa jednę rękę ma odzianą w czerwoną rękawicę.

Zdawałoby się przytem, że kto bywa tak namiętnym karaluchem, albo mdlejącym kotem w walce o swojskość, mógłby się zdobyć na biesa lub czarta zamiast wyszarzanego za granicą demona.

Cezary Jelenta.

*) Z cyklu *Małe poematy prozą*.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POZNAŃSKIEGO.

12 sierpnia.

Jeszcze raz wybory. — Komitet wyborczy. — Awantura. — Walne zebranie w Bydgoszczy.

Mamy tedy w społeczeństwie naszem szatana, prawdziwego, najautentyczniejszego szatana (tak przynajmniej twierdzi cała niemal poznańska prasa „postępowa“), który krąży w około nas, szukając owej biblijnej postaci na pożarcie przeznaczonej. Każdy, zajmujący się polityką, poznańczyk bardzo dobrze wie, że tym szatanem jest dr. Jan Szymański, zaś ofiarą jego to redaktor *Dziennika poznańskiego* p. Dobrowolski.

---

zataczała, chwiała się i krzyczała — była pijana. Wyszli więc razem w pole.

Wtedy Carolus jął opowiadać o tem, jak straszne jest życie na morzu. Przymus tam większy, niż gdziekolwiekbądź na lądzie, większy nawet, niż w Haawe. Powrócił tedy do domu, zawód majtka porzuca na zawsze. W mieście założy sobie kramik; daleko to rozsądniejsze. I Gunnarowi ze wszystkich sił radzi porzucić myśli o morzu; o miejsce w załodze postarać się dlań nie mógł.

Gunnarowi zrobiło się jakoś zimno i głupio. Tyle czasu myślał o tem i tak się cieszył swojem marzeniem... Cóż teraz począć?

— Gdybym był tobą, Gunnarze — odparł Carolus — poszedłbym do miasta i uczył się stolarki. Albo też do jakiegoś handlu, jeżeli ci się to lepiej podoba. Tam będziesz miał spokój i dobre życie, za kilka zaś lat zarabiać będziesz tyle pieniędzy, ile na morzu przez całe życie nie zarobisz. Chyba, że się jest kapitanem; wtedy — co innego; lecz godność ta prostakom nigdy się nie dostaje.

Gunnar zgodzić się musiał. Na pożegnanie otrzymał od Carolusa scyzoryk z rączką mosiężną, korkociągiem i trzema ostrzami; pocieszyło go to trochę.

I zaczął myśleć o kramiku. Stać w takim kramie — jakby to było pięknie, a potem, może później, uda mu się pójść na morze. Ale ten ojciec! Wydostać od niego pozwolenie na krok taki — uff!.. Gdyby to tak już zupełnie być dorosłym!

Gunnar stał się teraz więcej jeszcze milczącym.

— Czy masz jakieś zmartwienie, Gunnarku? — pytał go ojciec.

Och, ten wstrętny, słodki ton, którym ojciec teraz przemawiał; wolał już łajanie.

— Nie — odparł krótko.

Ojciec westchnął.

— Zdaje mi się, że to bardzo niedobrze, iż nigdy mówić ze mną nie chcesz, Gunnarku... (Gdyby sobie już poszedł!). Mógłbyś przecież powiedzieć mi coś, pogawędzić ze mną...

Gunnar milczał jak ściana. Cóżbym miał z tobą mówić? — myślał.

— Czy gniewasz się na mnie, Gunnarku?

Ach, już lepiej, żeby łajał!..

Ojciec westchnął głęboko, ciężko. I wyszedł.

Lecz Gunnar unikał ojca więcej jeszcze, niż dotychczas; te miodowe szepty wstręt w nim poprostu budziły. A zresztą ojciec bywał nieraz tak dziwnym; wykrzywiał się i rzucał, jak pół-waryat. Co to znaczyć miało, chłopak nie pojmował, ale bał się i nie znosił tego.

Wieczorami niedzielnymi Gunnar mógł zwykle rozporządzać według woli.

Chętnie wtedy wymykał się z domu. Czasem odważył się pójść do sąsiadów, pomiędzy młodzież. Lecz nie było tam tak wesoło, jak myślał. Młodzi w całem zachowaniu swojem nie tacy byli, jak on; śmieli się co chwila — śmiał się z nimi, lecz z czego, nie wiedział. Czasem zdawało mu się, że kpią z niego. A jak się to słowem i czynem z dziewczętami przekomarzać umieli; nieraz nie wiedział, gdzieby się schować... Czyżby się wcale nie wstydzili?

Jedyną uprzejmą dla niego osobą była Maren, służąca. Zgadzała się z nim, że chłopcy i dziewczęta z sąsiedztwa strasznie nosa zadzierają. O zmroku, gdy Maren doiła krowy, a Gunnar napełniał koryta, nieraz wszczynali rozmowę, najczęściej o sprawach weselnych i wszystkiem, co w związku z niemi pozostaje, a Gunnar zaczynał już chętnie przysłuchiwać się tego rodzaju gawędom.

Maren na świat patrzyła poważnie. Nigdy nie miała kochanka — mimo licznych pokus i nigdy wstydu takiego na siebie nie ściągnie. Dziecko — to hańba okropna!...

Pewnego wieczora spytała go Maren, czyby nie chciał, ażeby go tańczyć nauczyła; na gumnie, w niedzielę, w godzinach wieczornych. Pobladł i przystał — i zaczął się dla Gunnara czas niezdrowy...

(D. c. n.)

Teraz zaś gdy dwa te imiona padły, już wiesz czytelniku, o co właściwie chodzi, tylko o wybory.

Gdy p. Stefan Cegielski został ostatecznie wybrany posłem z Poznania i ze strony niemieckiej żadne już nie groziło niebezpieczeństwo — ta część społeczeństwa naszego, która przeciwną mu była, a równocześnie przeciwną całemu projektowi wojskowemu, zażądała zwołania walnego zebrania wyborców miasta Poznania, ażeby na niem wyrazić swą niechęć dla owego projektu. Komitet wyborczy nie chciał temu uczynić zadość. Było już podówczas powszechnie wiadomem, że posłowie poznańscy są przez rząd „wzięci na kawał“ i że będą głosowali za ustawą, komitet tedy, ażeby „nie psuć Kołu rozpoczętej akcyi politycznej“, czekał, aż głosowanie w parlamencie się odbędzie. Tak się stało. To też gdy owo spóźnione zgromadzenie zostało zwołanem, postanowiono udzielić naganę komitetowi, który pozwolił sobie opinię publiczną lekceważyć i prowadzić zakulisową politykę. Wskutek tego komitet zdecydował się ustąpić. Mimo dobrej miny, jaką ma p. Dobrowolski, mimo pozornego spokoju, jaki stara się zachowywać, musi jednak przyznać, że społeczeństwo oświadczyło się przeciw niemu i że poniósł klęskę wraz ze stronnictwem, które reprezentuje. Działał niewątpliwie w dobrej wierze, ale działanie jego przy dzisiejszym nastroju społeczeństwa już uznania otrzymać nie mogło; nie on wyłącznie winę ponosi, ale zbyt był wysunięty naprzód, aby nie odbierał razów, przeznaczonych dla osób, za jego plecami się ukrywających.

W parę dni potem odbyło się walne zebranie, które powołało nowy komitet wyborczy. Przygotowania były ogromne, ułożono aż cztery listy a natłok chcących głosować był taki, iż sala u Kempfla ledwie ich pomieściła. Zaraz z początku powstała różnica zdań. Jedni chcieli, aby przewodnictwo objął Knapowski, drudzy — którzy zresztą mieli słuszność — aby je zatrzymał Dobrowolski z *urzędu*. Powstał krzyk i hałas, który wzmógł się jeszcze bardziej z powodu nietaktownego zachowania się jednego z ławników, ks. d-ra Skrzydlewskiego, poczem inspektor policyi rozwiązał zebranie. Ks. Skrzydlewski nakrył głowę kapeluszem i demonstracyjnie zaczął pięściami i łokciami rozbijać publiczność skupioną w sali i tym sposobem torować sobie drogę ku drzwiom zamkniętym, podczas gdy inne wyjście zupełnie było swobodne. Jeden z wyborców, uderzony jego pięścią, czy łokciem, oddał mu pięknem za nadobne. To było punktem kulminacyjnem całego zajścia. Prawowierni nie mogą się jeszcze do tej chwili uspokoić z powodu owego uderzenia i nazywają zgromadzenie „hołotą“ „hałastrą“ itp.

Prasa rozpoczęła tedy znowu walkę — p. Fr. Dobrowolski twierdzi, że wina całego zajścia i rozbicia zebrania spoczywa na p. Szymańskim — p. Szymański zaś wskazuje palcem na p. Dobrowolskiego i pomawia go o machiawelizm — tymczasem zaś publiczność patrzy i czeka.

Prowincya częściowo odczuła również wybory i zaburzenia — jeżeli je wolno tak nazwać — poznańskie. W Bydgoszczy również odbyło się zebranie, które nie bardzo przychylnie dla komitetu było usposobione, gdyż i tu hamowano objawy woli wyborców. Między uchwałami powzięto następującą: „Dla pism *Czasu* i *Kuryera poznańskiego*, jako też dla autorów owych paszkwilów (przeciw posłowi Czarlińskiemu wymierzonych) wyrażamy publicznie słowa pogardy.“ P. Leon Czarliński był przeciwnikiem projektu wojskowego i do głosowania się nie stawił — przeto *Czas* przywykły do terroryzowania swoich krakowiaków i do t. z. baraniego głosowania swoich zwolenników — odzywał się o nim w ten sposób, jak to on w takich razach umie się odzywać.

Z zebrań tych i niepokojów jedno się przebija: gniew na posłów, iż głosowali za projektem wojskowym, a po za tem wstyd samych posłów i chęć, aby sprawa zbyt długo nie była podnoszona.

t. z.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

IX.

Chicago, 4 lipca.

Od wczorajszego wieczora jestem jak gdyby w oblężonem mieście. Nieustający huk rakiet przeciągnął się do późnej nocy — usnąłem wśród jego odgłosów. Wystrzały, niby armatnie, obudziły mnie dzisiaj o piątej, a odtąd nie zamilkły ani na chwilę. Wszak to dzień Św. Dżulaja, jak o 4 lipca mówi amerykanin „polskiego wyznania.“ W gazetach pełno karykatur. Wuj Sam skacze na jednej nodze, jak opętany, strzela z rewolweru, rakiety pękają pod nogami, iskry pryskają w powietrzu. Lecz najwięcej poświęcono miejsca nieodrosłemu jeszcze od ziemi bohaterowi dzisiejszej uroczystości. Jedna z karykatur: godzina 9 rano, olbrzymie pudło po rakietach już puste, a malec naprzykrza się płaczem o inne. Druga daje pojęcie o szerszych stosunkach: obywatel *policeman* stoi wyprostowany z wzniesioną do góry buławą w ręku i czatuje, jak mu wczoraj kazano, na rakiety w wązkich uliczkach — wśród rzędów drewnianych domów mogą one cały zaułek przekształcić na płonący stos; stróż porządku publicznego wytrzeszcza ślepie z gorliwości, a tymczasem jakiś bęben podsunął olbrzymią rakietę pod tę czcigodną osobę, podpalił lont i nie czekając dalszych następstw, czmycha, co sił starczy. Wniosek: pozostawmy wszystko swobodnemu biegowi i usuńmy stróżów, którzy są zbyteczni na ziemi Washingtonów.

Moja gospodyni od rana skarży się przede mną na swoją dziewczynkę, że nie jadła nawet śniadania i poleciała puszczać rakiety. Szał opanował młode pokolenie, prócz fajerwerków nic dla niego nie istnieje. Młodzi obywatele tłoczą się na ulicach; jeden stanął w pośrodku chodnika i wywija małą rakietą, która opryskuje przechodniów rzęsistym deszczem iskier, inny skierował swoją, poważniejszych rozmiarów, na ulicę i podpala, nie dbając w jakim kierunku nastąpi wybuch. Musisz iść uważnie, bo chłopiec na nic nie zważa, nawet na swego przyjaciela-pomocnika: jeden z nich przykłada lont, a drugi przygląda się, zapomniawszy, że ogień może mu buchnąć w twarz. Inni, którzy wystrzelali swoje zasoby, a od rodziców nie mogą wyprosić pieniędzy na nowe, latają jak psiaki wściekłe; gdziekolwiek zoczą przygotowania, pędzą, ażeby być chociaż świadkami. Po drodze zachodzę do znajomego lekarza. Akurat opatruje on dziesięcioletniego malca, któremu towarzysz wpakował w twarz cały nabój, kilka ziarnek prochu utkwiło w oku. Winowajca, który to uczynił, oczekuje w drugim pokoju na rezultat operacyi i płaci lekarza — z własnej kieszeni. Druga to już dzisiaj! Bohater pierwszej przybył zaniepokojony, że może utną mu palec. Ponieważ obawa była płonną, z radością poddał się operacyi: jedynie matka nie przestawała utyskiwać, że do południa puścił z dymem nietylko dolara przeszło, ale nadto wyciągnął jej drugiego na lekarza.

Ciekawe to obrazki. Świadczą one wymownie o swobodzie, jaką cieszą się dzieci. Matka płacze, ale kraj nie potrzebuje obawiać się o swoją przyszłość!

Wychodzę znowu na ulicę. Huk nie ustaje. Niekiedy na chodnik wypada dorosły obywatel i strzela z fuzyi, to znowu przez okno wychyli się ręka — doprawdy, dłoń kobieca! — i puszcza w górę wystrzał z rewolweru. Ciągły grzmot wydobywa się z pod tramwajów. Nic dziw, kapsle sterczą na szynach i eksplodują. Winowajcy nietylko nie umykają, ale jeszcze do jadących mierzą rakietami. A co będzie wieczorem, kiedy noc swoją szatą przyćmi światło dzienne, a mroki rozpostrą się, żądno efektów ognistych?

Chicago, City, 7 lipca.

Próbki reklam nad sklepami i składami: „Magazyn mód, największy na całym globie ziemskim,“ „Największa na świecie codzienna gazeta za dwa centy.“ Próbki opisów: „Największa i najcięższa na ziemi sztuka stali, podniesiona na wysokość, na jaką nigdy takiego ciężaru nie podnoszono.“ „Fajerwerki, jakich świat jeszcze nie oglądał, puszczone na nieznaną dotychczas wysokość.“ A kiedy niepodobna już wpakować globu, miejsce jego zajmuje stan, dzielnica, wreszcie chociażby ulica. A zatem szyld głosi: „Nasz magazyn jest największy na przestrzeni całej ulicy.“

Amerykanin niesłychanie uprościł estetykę. Polega ona na wysokich cyfrach! Jeżeli opiewa wspaniałości jakiegoś parku, gmachu, mostu, zaczyna od tego, ile poszło cegieł, drzewa, szkła. Mniej obchodzi go wygląd zewnętrzny, to, na co miłośnik piękna naprzód zwraca uwagę; więcej — czy dany twór ręki ludzkiej przewyższył pod względem jakiegoś rozmiaru swoich współbraci na ziemi. Jeżeli nie, najpiękniejsza rzecz traci w jego oczach dużo, a nawet wszystko ze swego uroku. Mniemam, że Apollo belwederski nabyłby w jego oczach stokroć więcej wartości, gdyby był tak wysoki, jak nowoyorski posąg Wolności, gdyby posiadał palce u nóg chociaż na stopę długie, albo gdyby był zrobiony z niezwykłego materyału, np. z platyny albo żelaza, wziętego ze spadłych meteorów. Amerykańskie przewodniki skrupulatnie czynią zadość takiemu artystycznemu smakowi — dorobkiewiczów Geldhabów! Otwieramy jeden z nich i akurat natrafiamy na opis obrzydliwej budy — *Audytoryum*, mieszczącego w sobie teatr, hotel i mnóstwo kantorów. „Pomiędzy wspaniałymi budynkami naszego miasta— czytamy — *Audytoryum* jest najwspanialszym. Jest to najsławniejszy gmach na lądzie amerykańskim: zarazem przytułek wielkiej opery, przepiękny hotel mamutowej wielkości, siedziba wielu *office*'ów — niepodobna znaleźć na globie ziemskim budynku, któryby z nim wytrzymał porównanie. Wcielił on w sobie i upostaciował nowożytną ideę budowniczą, jak rzymskie Koliseum ideę starożytnego świata. Duch chicagoski drga w nim i przemawia z jego postawy.“

Zaprawdę, jest on kwintesencyą chicagoskiej estetyki: posiada dziesięć piętr w głównym tułowiu, a osiemnaście w paskudnej wieżycy, waży 110 tysięcy tonn, zużył 17 mil. cegieł, 230 mil. drutu, rury gazowe i wodociągi ogółem mają 25 mil, lamp elektrycznych znajduje się dziesięć tysięcy... Czytelnik z niewiarą się uśmiecha, słysząc te cyfry. A jednakże wypisuję ustępy z amerykańskiej, a raczej chicagoskiej estetyki, która ciągnie się na olbrzymiej długości, podaje nawet liczbę akrów zużytego szkła, mozajki itd. Gust ów ku wielkim rozmiarom spotkałem wszędzie w Ameryce, ale w „największem mieście żywnościowem“ — *biggest live city* jest jednym z przydomków Chicago — przyjął on formy przesadne. Obywatel tego grodu uwielbia przymiotniki w najwyższym stopniu, a jeżeli gdzie ich nie może zastosować, wtedy rzecz traci dłań na wartości. Chicago w swoich murach posiada tyle przedmiotów, istotnie najwięk-

szych na świecie, że jego rodowitym mieszkańcom przewróciło się w głowie — artyzm jęli mierzyć łokciem i funtem. Wogóle zasługiwałaby na studya dusza „zdobywców świata" — przydomek chicagowiaków. Szkoda, że nie znam żadnego zpośród miejscowych psychiatrów, gdyż zagadnąłbym go o naturę miejscowej *maniae grandiosae*, czy nie uwidocznia ona w sobie tych rysów, jakie przemawiają z szyldów. W starej części świata obłąkaniec wielkości uważa siebie za papieża, króla, hrabiego, nad jeziorem Michigan chyba za największego bankiera na globie, za osobę, która zbudowała najwyższą wieżę... A jeżeli to w szpitalach jeszcze nie ujawniło się, istnieje już w łagodniejszej postaci wśród plutokratów miejscowych; z tego źródła wypływa może mania budowania „drapaczów nieba." Zarodki tej manii objawiają się i w żargonie prasy miejscowej. Upowszechnia ona zaściankowy patryotyzm i estetykę Geldhabowską. Splugawiła swojem tchnieniem dzielne postacie przeszłowiekowego drobnomieszczaństwa: za czyn, bodaj czy nie równy działalności Franklina lub Waszyngtona, uważa wizytę, złożoną jakiemuś kamiennemu mamutowi. Nie mogę się oprzeć, aby nie dać próbki tutejszego stylu dziennikarskiego, kiedy idzie o drogie chicagoskiemu sercu rzeczy: „4 lipca to sztuczka! Ćwierć miliona osób, których serca zespoliły się w uroczystości, zaświadczy o tem. Ćwierć miliona osób, które zapełniły Białogród, stało tam, gdzie setka plemion, narodów i królestw stworzyła największe widowisko, jakie kiedykolwiek gdziekolwiek oglądano; zgodnie dadzą one głos, że nic podobnego dotychczas nie widziano na ziemi, ani pod ziemią, ani w jakimbądź zakątku wszechświata (tak!). W jednym dniu roztoczyły się wszelkie możliwe wspaniałości wszystkich wojen i wszelki przepych wszystkich parad. Wzniesiono ołtarz patryotyczny, jak daleko sięgają granice kraju i jak wysoko biegną żądne natury! Tłumy były niezmierzone. Mniejsze gromady zapisała historya i przekazała dziejom jako cud pod względem rozmiarów. Aleksander miał mniej hufców, kiedy szedł na podbój Wschodu, kohorty Hanibala, kiedy ciągnęły przez Alpy, były tylko drobnym orszakiem... (opuszczamy litanię porównań, wskrzeszono Cezarów, Attylę, Karola W., wojny krzyżowe, Napoleona I i mnóstwo innych). Zbiorowisko to przejdzie do dziejów, jako drogowskaz epoki!"

Śmieszna przesada, estetyka dorobkiewicza-plutokraty, ale są to łachmany, pokrywające ciało wiele obiecującego dziecka — nie zapominajmy o tem! Arogancya taka idzie w parze tylko z poczuciem własnej siły.

10 lipca, wystawa, Children's Building.

Cząstka amerykańskiego życia — nie! za ciasne to pojęcie, powinniśmy raczej powiedzieć: życia nowoczesnego — przeniesiona na wystawę i upostaciowana w formie osobnego budynku. Służąca jest prawie nieznaną, co zatem mają czynić matki, jeżeli wydalają się z domu? Czy z braku opieki nad dzieckiem wyrzec się przyjemności obejrzenia Białego grodu? Zabierają je z sobą i pozostawiają w „Przybytku dzieci," starsze będzie ćwiczyło swoje mięśnie „w gimnazyum," młodsze znajdzie przytułek w ogródku froeblowskim, bardzo zaś drobne — w żłobku.

Budynek niezbyt wykwintny, ale napisy nade drzwiami tak serdecznie zapraszają do wnętrza. „Jaka gałązka jest wetknięta, takie wyrośnie drzewo!" „Maluczcy z czasem wyrosną na wielkich tego świata." „Dziatwa to nadzieja kraju." „Dorośli są dziećmi wyższego wzrostu." Wzniosłe hasła! Ale ostrożnie z niemi, nie dowierzajmy słowom i nie zapominajmy, że jesteśmy w Chicago. Epoka wszechfrymarczenia trzyma się zasady, że człowiek na to posiada język i jego drukowane produkty, aby tem łacniej okpiwał i robił geszefty. A yankee celuje w reklamie: wyćwiczył swoją umiejętność ukrywania najwstrętniejszej pogoni za zyskiem pod pięknemi słówkami. Z wierzchu pozłota, wewnątrz brudy!

* * *

Kitchen garden. Małe czerwone krzesełka, pośrodku niewielkie stoliczki, kilkadziesiąt dziewcząt w białych czepeczkach na głowie i w białych komżach — doprawdy nie wiem, pod jaką nazwą słynie ten strój w kostyumowym arsenale naszych pań. To szkółka, która dziewczynkom ma wpoić cnoty prababek, zanikające pod zabójczym duchem nowoczesnego rozwoju technicznego. To, co dawniej, jako konieczne następstwo ówczesnych warunków bytu, przychodziło samo z siebie, teraz wymaga hodowli za pomocą suggestyi i hypnozy. Na to zeszedł kult domowego Znicza! O celach głosi przybita tabliczka: *Kitchen garden* ma zwalczać wstręt ku zajęciom domowym — tak daleko już sięgnął nowożytny rozwój po tamtej stronie Atlantyku! i podnieść w oczach kobiety jej obowiązki domowe przez oczarowanie niemi młodocianego umysłu. Hypnoza, istna hypnoza!

Lekcya tylko co się rozpoczęła. Dziewczynki chórem śpiewają o tem, co gospodyni winna czynić, kiedy zbliża się chwila obiadu. Po skończeniu śpiewu, kilka wyszło na środek i zaczęło nakrywać stoliczki do obiadu. Co można byłoby uskutecznić w ciągu dwóch minut, na to zużyto około kwadransa. Któraś kładzie nóż, odchodzi — nie, położyła go źle, wraca i poprawia. Jeszcze źle, trzonek leży inaczej, nie tak, jak powinien. Bona podchodzi i wykłada jakiś ustęp z amerykańskiego *savoir-vivre*. Ach, to cała nauka! Choć mam jak najlepsze pojęcie o zdolnościach dwunożnego ssaka do uczynienia prostej rzeczy najbardziej złożoną, nigdy jednak nie sądziłem, aby nakrycie stołu wymagało takiej olbrzymiej wiedzy... Wreszcie jeden sakrament spełniono i zabrano się do innego. Kilka dziewczynek usiadło za stołem, a przełożona oka z nich nie spuszcza, czy nie popełnią jakiegoś grzechu: może użyją do owoców niewłaściwego noża, może źle trzymają serwetkę. Później z namaszczeniem sprzątają ze stołu. A takie samo namaszczenie przemawia z obrazów, które wiszą na ścianach: dziewczęta wśród śpiewów myją podłogę, gotują obiad. Nawet miotły na ścianach wokoło posiadają uroczystą minę, są ozdobione wstążeczkami niby proporce różańcowe. Zapisałem piosenkę, śpiewaną przed nakryciem do stołu:

We'll set the dining table
With knives and forks and plates
Then set us down to dinner
Will all our little mates. *)

Korowody zbiorowe kończą lekcyę, a śpiew zaznajamia nas z innym ustępem życia damy amerykańskiej. Mniejsza o niego.

Jestem tutaj nie po raz pierwszy. Szkółka w „przybytku dziatwy" jest filią zakładu w New Yorku i próbą przesadzenia tej płonki na grunt chicagoski. Galanteryjne sklepy amerykańskie za oknami na wystawie umieszczają żywych manekinów, perfumerye — żywe okazy z warkoczami do ziemi, zakład p. X. — mniejsza o nazwisko — wynajął pokój w budynku dla dziatwy i codziennie popisuje się przed publicznością. Pedagogiczna reklama! Znam już twarze niektórych dziewcząt i odrazu wyróżniam je z pośród zastępu nowych przybyszek. Zamiast namaszczenia dostrzegam niekiedy znudzenie na twarzy; wyuczone maryonetki machinalnie spełniają sakramenty Znicza. Może to laleczki, kupione u rodziców i przeznaczone na wabika... Reklama, hypnoza, tortury młodocianej duszy!

* * *

Przechodzę około firmy jakiegoś Sloydu, gdzie po za oknami spostrzegam gromadkę malców za stolikami. Każdy warsztacik jest arcydziełem w swoim rodzaju, aż chęć bierze usiąść przy nim i modelować. Ale słońce świeci na dworze jeszcze piękniej i wabi ku sobie: niecierpliwość maluje się na niejednej twarzy. Uciekam od tej tresury i zarazem wystawy pedagogicznego *businessu*. Wolę oprzeć się na balustradzie i z góry spoglądam na salę środkową. W pośrodku wiszą trapezy, stoją kozły, z kątów wyglądają hantle. To „gimnazyum." I tutaj usadowiła się reklama. Ale nie zabija ona suggestyą młodocianego ducha, nie odbiera dziatwie swobody i powietrza, nie kładzie na twarzy niesmaku i niecierpliwości. Jak gwarno tutaj i wesoło! Chłopcy i dziewczęta ćwiczą swoje mięśnie; tak samo skaczą przez kozły, takie same podnoszą hantle. Niektóre dziewczynki są ubrane w strój odpowiedni: marynarska błękitna bluzka spięła ich kibić, spódniczka idzie do kolan i kończy się dwiema nogawicami, przypominając nieco krój spodni tureckich. Publiczność przyjmuje udział w zabawie: brawami, śmiechem. Dziatwa opuszcza „gimnazum" znużona, ale z rumieńcem na twarzy i z szeroko oddychającemi piersiami. Zapominam o *businessie*, kiedy oglądam te skutki.

L. K.

*) „Nakryjemy stół obiadowy nożami, widelcami i talerzami, a później usiądziemy do obiadu z naszemi małemi rówieśniczkami."

STUDYA KOBIECE.

Z Genewy.

Przed niedawnym czasem w prasie naszej zajmowano się żywo studentkami, przeważnie genewskiemi; ponieważ chcę w tej sprawie powiedzieć słów kilka, zaznaczam przedewszystkiem, że nie robię tego w celu przedłużenia polemiki, chociaż nie mogę się zgodzić ze zdaniami, które były wypowiadane.

W Genewie, jak i gdzieindziej, powodzenie kobiet w studyach uniwersyteckich zależy od wielu warunków, których zbadanie mogłoby sprawę całą przedstawić nie tak jednostronnie, jak ją dotąd widziano; nie miałoby to jednak znaczenia praktycznego. Jedne z tych warunków leżą we właściwościach samych kobiet, drugie w ich wychowaniu, broniącem je starannie od wyrobienia samodzielności w jakimkolwiek kierunku, inne — w przygotowaniu naukowem, inne w samych uniwersytetach; tymczasem wszystkie nie są zazwyczaj powszechnie uznawane, a na ekonomiczno-społeczne stanowczo się nie zwraca uwagi. Stąd zdanie o uzdolnieniu kobiet może mieć obecnie jedynie wagę zapatrywania indywidualnego, które — na to zgodzą się wszyscy — nie wstrzyma napływu kobiet do uniwersytetu. Nie jest też moim zamiarem kogokolwiek od nauki powstrzymywać, chcę tylko zaznaczyć jak się przedstawia stan studyów kobiet w Genewie na podstawie danych statystycznych i jakie studentka może napotkać trudności, z któremi się liczyć powinna, aby wyjazd jej na uniwersytet nie był bezowocną wycieczką lub aby się nie skończył rozczarowaniem i zniechęceniem.

Przypomnę więc przedewszystkiem, że kobiety zostały dopuszczone do uniwersytetu w 1874 r. po reformie akademii, istniejącej od 1559 r. Zaraz na początku korzystało z przywileju 27, między niemi jedna

polka z Kaukazu, 18 rosyanek, 6 genewek, jedna francuska i jedna angielka — wszystkie zapisane jako wolne słuchaczki. W następnym roku dwie rosyanki zapisują się na wydział przyrodniczy już jako studentki, jedna z nich po dwóch latach otrzymuje bakalareat, druga. po otwarciu wydziału medycznego w 76 — 77 roku wstępuje na medycynę i kończy jako doktór. Co do polek, spotykamy po jednej, po dwie w ciągu roku, jako wolne słuchaczki wydziału przyrodniczego; w 80—81 r. zapisuje się jedna na wydział literacki i kończy z bakalareatem. W 82—83 widzimy dwie studentki polki na wydziale przyrodniczym — obie skończyły z bakalareatem; w 85—86 po raz pierwszy dwie polki zapisane na medycynę, jedna z nich skończyła w Genewie, druga w Paryżu. Od tej daty liczba studentek polek wzrasta i na wydziale przyrodniczym i na lekarskim; w 89—90 doszła do 13 na medycynie, w 90—91 było 19 słuchaczek, w 92—93 w półroczu letniem 14.

Widzieliśmy, że studentki rosyanki wyprzedziły polki, co do czasu; porównajmy teraz ich liczbę. W roku 88—89 było ich 10 na medycynie, w roku 90—91 (polek 19) liczba rosyanek doszła do 22; w 92—93 w półroczu letniem 33. Na wydziale przyrodniczym nigdy nie było polek więcej nad 8 jednocześnie, rosyanek raz jeden — 15; na wydziale nauk społecznych najwyżej 2 polki, a rosyanek w jednem tylko półroczu — 5.

Wydział prawa nie miał nigdy nawet wolnej słuchaczki, teologiczny miał trzy, sekcya nauk filozoficznych, istniejąca do 1886—87 r. — 3 i raz przez jeden semestr — jedną studentkę.

Oprócz rosyanek i polek spotkać można w uniwersytecie genewskim przedstawicielki wszystkich narodowości europejskich; niepodobna tu wchodzić w szczegóły, zaznaczę tylko, że w ostatnich czasach przyjeżdża dosyć ormianek. Co zaś do szwajcarek, te głównie dostarczają wolnych słuchaczek; obecnie są dwie studentki na medycynie. Nie będę się tu zastanawiała nad przyczynami, dlaczego genewki mało korzystają ze swego uniwersytetu, nie mogę jednak pominąć faktu, że jakkolwiek w Genewie uniwersytet jest otwarty dla kobiet, jedyny zakład naukowy, wyższa szkoła panien, ma program znacznie niższy od programu collége: wszystko, co w ostatniem ma być traktowane jako nauka, w pierwszej ma się ograniczać do jej „zasad.“

Ponieważ egzamina roczne kończą się w październiku, nie mogę przedstawić rezultatów do chwili obecnej, podaję zatem ilość studentek od czasu założenia uniwersytetu aż do końca 91—92 r. uniwersyteckiego, jak również stopnie naukowe, które przez ten czas były uzyskane; co zaś do wolnych słuchaczek, których jest też znaczna liczba, te nie będą nas zajmowały wcale.

	polki	rosyan.	bulg. i serbki	inne narod.
wydział literacki . .	6	9	12	13
wydział nauk przyr.	29	77	5	12
wydział medycyny .	33	62	3	9

W roku bieżącym przybyło studentek polek 10, rosyanek 18, innych narodowości 9.

	Polki	Rosyanki	Bulgarki	Serbki	Ormianki	Francuzki	Rumunki
bakalareat literacki .	1	—	—	—	—	—	—
licencyat nauk społecz.	2	3	2	—	—	—	—
bakalareat przyrodn. .	18	26	1	—	1	1	1
doktorat przyrodniczy	3	—	—	—	—	—	—
doktorat nauk fizyczn.	—	2	—	—	—	—	—
doktorat medycyny .	2	4	—	1	—	—	—
dyplom chemika . .	—	1	—	—	—	—	—

Nadto dodam, że w tym roku jedna polka ukończyła medycynę, inna wydział matematyczny, kilka rosyanek i jedna rumunka otrzymały bakalareat przyrodniczy, jedna francuzka ukończyła wydział przyrodniczy ze stopniem doktora.

Rezultaty są skromne, znaczna większość wychodzi z uniwersytetu nie ukończywszy studyów, gdy jednak zwrócimy uwagę na fakt, wszystkim już znany, iż wiele studentek w Genewie zaczyna naukę, a kończy w Paryżu lub w innych uniwersytetach, wykazany stosunek nieco się poprawi.

Przejdźmy obecnie do warunków, w jakich się nauka odbywa. Wstęp do uniwersytetu nie przedstawia żadnych trudności; od wolnych słuchaczów wymagane jest jedynie ukończenie 18-tu lat, od zapisujących się na studentów patent z gimnazyum. Nie ma żadnych egzaminów z jakiegokolwiek przedmiotu. W uniwersytecie mają na względzie przygotowanie, jakie daje miejscowe collége; w to zaś, z jakiem przyjeżdżają studentki cudzoziemki, nikt wchodzić nie może. Zastrzegając nieliczne wyjątki z ostatnich paru lat, można napewno twierdzić, że ogół studentek uznaje swoje przygotowanie za niedostateczne. Szkoda tylko, że większość spostrzega to zapóźno.

Najwięcej trudności zwykle przedstawia fizyka, gdyż do zrozumienia jej potrzebna jest pewna znajomość matematyki, której nie wynosimy z gimnazyum, dla tegoż powodu nie łatwą jest do pokonania krystalografia; co do innych przedmiotów z mniejszym wysiłkiem poznać je można, choćby niebardzo dokładnie.

Bez odpowiedniego przygotowania nie można korzystać ze znakomitych wykładów profesora Vogta, jak i drugiego bardzo dobrego profesora, chociaż niesławnego, Chodata, wykładającego systematykę botaniki; nie trudno się przekonać jak mało ogół wynosi z tych doskonałych lekcyj.

Zaznaczywszy te specyalne trudności, nie rozumiem przez to, aby obznajmienie się uprzednie z wykładanymi przedmiotami w zupełności rozwiązywało kwestyę, można tylko powiedzieć, że ułatwia egzamina i otrzymanie stopnia naukowego; jedynie posiadając ogólne wykształcenie, które, trzeba wyznać prawdę, między studentkami wyjątkowo się spotyka, można prawdziwie skorzystać ze studyów. Niepodobna też pominąć ważnej przeszkody, do jakiej należy brak znajomości języka wykładowego; polki pod tym względem najlepiej stoją, mówiąc jednak o ogóle musimy uznać ujemne wpływy tego braku na rezultaty studyów i liczyć się z nim. Nudno siedzieć na wykładzie, którego się wcale nie rozumie lub bardzo mało, więc się czyta wtedy, czyta się dużo i nie po francusku, a czas przechodzi, fundusze się wyczerpują, trzeba wracać do domu z nieosiągniętym celem wyprawy.

Wspominałam na początku, że jeden z faktów bywa zwykle pomijany, mianowicie zapatrywanie się społeczeństwa na mały pożytek wykształcenia kobiety, u nas mniejszy, niż gdziekolwiek; nie tylko że nauka jest kosztowna, ale i nieprodukcyjna, tymczasem zwykle ma się odsetki na widoku. To też rzadka rodzina bierze studya córki na seryo, pod najbłahszym pozorem odwołuje się ją do domu; naturalnie, nie w statystyce szukać na to dowodów. Więcej przewidujące, pomimo iż mają chęć studyować medycynę, kończą najpierw wydział przyrodniczy, gdyż nie wiedzą, czy ich potrzeby materyalne będą mogły być zaspakajane przez ciąg 6 lat.

Nauka rzeczywiście jest tu bardzo kosztowna, jakiej jednak wymaga sumy, często zainteresowane o tem nie wiedzą; dlatego to przejrzymy koszta trzech wydziałów, najwięcej uczęszczanych przez studentki: przyrodniczego, medycznego i nauk społecznych (na matematycznym — dotąd była dopiero jedna).

Wykłady przyrodniczego kosztują 276 fr. wraz z wpisem. Aby mieć możność zdawania egzaminów, trzeba przedstawić świadectwo z zajęć w jednem z trzech laboratoryów przez dwa półrocza. Laboratoryum zoologiczne kosztuje w półroczu zimowem 60 fr. w letniem 36; botaniczne 50 i 30; chemiczne 90 i 60. Bardzo też pożyteczne są zajęcia praktyczne w laboratoryum botanicznem (powtórzenie praktyczne systematyki), w fizycznem i mineralogicznem. Nadto w półroczu letniem odbywają się co tydzień wycieczki botaniczne i geologiczne pod przewodnictwem profesora, nie obowiązkowe; ale bardzo korzystne. Bakalareat kosztuje 50 fr., doktorat 200.

Wykład medycyny wraz z wpisem, laboratorya, kliniki i egzamina wynoszą około 2,025 fr., doktorat 200 fr. Wykłady nauk społecznych, które tu przedstawiają się bardzo skromnie, tak iż studyujący wyłącznie na indywidualną pracę rachować może, kosztują najmniej 245 fr., za licencyat płaci się 100 fr.

Zwracam na to uwagę, że nie liczę wydatków ani na książki, ani na narzędzia laboratoryjne, ostatnie nie są kosztowne.

Bakalareat przyrodniczy i licencyat nauk społecznych zwykle wymaga dwóch lat, na ukończenie medycyny potrzeba jest 6.

Tak się przedstawiają ogólne warunki w uniwersytecie. Że obok tego praca systematyczna i wytrwała jest niezbędna, o tem wie każdy, nie potrzebuję się więc zatrzymywać nad tą stroną kwestyi, zaznaczę tylko, że, jak praktyka dowiodła, najpożyteczniej jest dopełnić braki wykształcenia po ukończeniu zakładu naukowego, a przed rozpoczęciem studyów w uniwersytecie; jeżeli się jednak przez czas jakiś nie pracuje wcale, umysł zwrócony w inną stronę z trudnością daje się nagiąć, a zastęp niekończących się powiększa się.

Dla uzupełnienia dodam, że od lat kilku istnieje w Genewie stowarzyszenie międzynarodowe studentek, samokształcące się i informacyjne; osoby, pragnące zasięgnąć informacyj co do uniwersytetu lub życia w Genewie, zechcą się doń zwrócić. Adres: Genève, Chemin Neuf 13 Mademoiselle Czyżowska.

M. O.

K A U C Y E.

Dla człowieka, którego życie społeczne interesuje, dział ogłoszeń w pismach jest jedną z ciekawszych rubryk prasy codziennej. Tam się odzwierciadlają potrzeby wszystkich warstw, ztamtąd łatwo wywnioskować o stanie interesów wielkich i małych przedsiębiorców, przemysłowców, kupców, można ocenić w przybliżeniu stosunek poszukujących pracy do miejsc wolnych. Ogromna liczba sklepików do sprzedania dowodzi, że taka forma handlu stoi na bardzo kruchych podstawach, a jego kierownicy nie mają ani wprawy, ani zdolności odpowiedniej. Sprzedaż „na raty“ nawet przedmiotów kosztujących po kilka rubli, świadczy o smutnem położeniu spożywców i o chęci przystosowania się kupców do ich warunków materyalnych. Meble do sprzedania „z powodu wyjazdu, choroby lub stosunków familijnych,“ są wymownym dowodem, że znaczny procent mieszkańców kurczy się, że ich byt coraz jest trudniejszy. Dział „posady i prace“ najwięcej daje do myślenia. Ze strony zaofiarowujących swoje siły są jaknajskromniejsze żądania, gotowość do usług często nawet za samo tylko mieszkanie lub stół; ze strony pracodawców za licho wynagrodzenie — jaknajszerszy zakres uzdolnień: znajomość dwu, trzech języków, buchhalteryi, zasób rutyny, uczciwości, a najpierwszy warunek — złożenie kaucyi. Doszło do tego, że nie stopień uzdolnienia

stanowi o zajęciu lepszej lub gorszej posady, lecz wysokość kaucyi. Tym sposobem pracodawca zabezpiecza się na wszystkie strony, pracobiorca — pozostaje na jego łasce i niepewny jutra, stoi na gruncie bardzo chwiejnym. Gdybyż te kaucye stanowiły tylko rękojmię pewności i bezpieczeństwa dla przedsiębiorców dających pracę. W większości wypadków są one raczej środkiem poprawienia zachwianego interesu, a nawet najpotworniejszym wyzyskiem. W ostatnich czasach coraz częściej ujawniane są fakty oszustwa spekulantów i wszelkiego rodzaju łotrów, którzy nałapawszy kaucyi, stanowiących ostatni grosz kandydatów do posad, zacierają za sobą wszelkie ślady. Liczniejsze są fakty formalnego rozboju. Pracodawcy, pobrawszy zastaw pieniężny, niemiłosiernie wyzyskują pracowników, na każdym kroku grożą im karami, które w końcu zjadają całą sumę zastawioną, a wówczas oficyalista jak wyciśnięta cytryna, musi ustąpić miejsca innemu.

Uważając za obowiązek społeczny ujawnianie takich faktów, notujemy jeden z wymowniejszych: W 105 numerze *Słowa* znaleźliśmy ogłoszenie następujące: „Potrzebuję zdolnego gorzelnika do gorzelni położonej w majętności Holeniszczów, gub. podolskiej pow. kamienieckiego. Gorzelnia jest urządzona według najnowszych wymagań techniki, parnik Henze, zacierowa kadź chłodząca (*Kihlmaschine*) i centryfuga fabryki Bormana i Szwede w Warszawie. Maszyny są poruszane stabilmaschiną, aparat Pistoryusza. Drożdżownia i słodownia bardzo dobrze urządzone. Wynagrodzenie mogę dać duże, z warunkiem, jeżeli gorzelany zagwarantuje, że otrzymam najwyższą wydajność spirytusu, w stosunku do wykazanych procentów krochmalu, podług wagi Reimana, przy jaknajmniejszej ilości zielonego słodu. Zacierów trzy na dobę.“ Adres wskazano: Karol Lipski przez Husiatyn w Holeniszczowie. Na takie ogłoszenie posypały się liczne oferty, między zaś innymi zgłosił się jeden dość wybitny fabrykant z Warszawy. Oprócz przesłanych listów i świadectw, kandydaci przyjeżdżali sami z dalekich stron i oto, co znaleźli na miejscu: Gorzelnia urządzona w sposób pierwotny, oprócz parnika Henze, sprowadzonego od Bormana w zeszłym roku i starej maszynki parowej, nic więcej niema. Kadź zacierna zgniła do tego stopnia, że ją po ukończeniu zeszłej kampanii trzeba było wyrzucić i zabezpieczyć w ten sposób od gnicia podłogę. Lichy aparat Pistoryusza został sprzedany do odlewni; słodownia prawie bez posadzki, potrzebnej do roślenia słodu, ma zaledwie ⅓ wymaganej przestrzeni i umieszczona jest pod lokalem fermentacyjnym, z którego ciekną wszelkie nieczystości na kiełkujące ziarna. Drożdżowni wcale niema, drożdże zaś wytwarzane były w oddziale fermentacyjnym. Gorzelnia operowała tylko na dwa nie zaś na trzy zaciery, czego dowodzi istnienie tylko sześciu kadzi fermentacyjnych (według ogłoszenia powinno być 9 *).

Z zestawienia powyższych faktów widać, że właściciel zamierzał przy pomocy kaucyi przerobić starą lub wybudować nową gorzelnię. Naturalnie dał się złapać tylko ten, którego nie puszczono do fabryki przed złożeniem żądanej sumy. Inni, którzy obejrzeli całe urządzenie, narazili się tylko na koszt podróży.

Na szczęście taka droga wyzysku, o ile przepływała przez ogłoszenia pism warszawskich, nadal będzie utrudniona, dzięki świeżo ogłoszonemu rozporządzeniu p. oberpolicmajstra, zakazującym na przyszłość umieszczania ogłoszeń z żądaniem kaucyi, bez osobnego "za każdym razem poświadczenia przez cenzurę policyjną. Każdy przedsiębiorca poszukujący publicznie pracowników z warunkiem rękojmi pieniężnej, będzie musiał także dać gwarancyę materyalną, zabezpieczającą kaucyę oficyalisty. Obok tego pożądane byłoby wydanie przepisów, któreby skrępowały poniekąd zbyt szerokie prawa pracodawców, pozwalające na mocy umowy potrącania pewnych kwot z kaucyi, tytułem kary. Jeżeli prawo fabryczne czuwa nad funduszem z kar i sposobem ich stosowania, dla czegożby nie mogło rozciągnąć swej siły nad przedsiębiorcami, nie zaliczonymi dotąd do kategoryi fabrykantów? Wreszcie, skoro składanie kaucyi jest rzeczą konieczną, to należałoby i tutaj ograniczyć przywileje pracodawców w ten sposób, ażeby sumy owe składane były nie na ich ręce lecz np. do Banku państwa. W ten tylko sposób może być zażegnany wyzysk i oszustwa, szerzące się dotąd bezkarnie, a łapanie na kucye znacznieby się zmniejszyło, bo przedsiębiorcy, pozbawieni prawa używania sum gwarancyjnych, nie będą widzieli w tej formie upewniania się żadnej korzyści dla siebie.

Zen. Piet.

*) Szczegóły te może potwierdzić zarząd akcyzy w Kamieńcu Podolskim i miejscowi urzędnicy, posiadający dokładny opis gorzelni.

PAMIĘTNIK.

Cholera.

Coraz częściej napastuje nas pytanie, czy cholera warta jest tego, ażeby jej w pismach poświęcać osobne miejsce, ażeby ubezpieczać się przeciwko niej wszystkimi środkami ostrożności, ażeby przed nią drżeć na jawie i we śnie? Jest to bowiem już faktem, nieulegającym żadnemu wątpieniu, że obecnie na cholerę umiera daleko mniej ludzi, niż na jakąkolwiek inną chorobę zaraźliwą. Zamiast wszakże powyższego pytania postawmy inne: czy mała śmiertelność i niewielkie rozpościeranie się tej epidemii nie stanowi najwymowniejszego dowodu, że stosowane sposoby tamowania jej są skuteczne? Zdaje się, że oprócz p. Ochorowicza wszyscy w to wierzymy. Cholera podobna jest do prochowni, która należycie strzeżona nie grozi niebezpieczeństwem, gdyby jednakże zaczęto w niej palić papierosy, spowodowałaby straszne zniszczenie. Wypadki podejrzane lub stwierdzone pojawiły się w kilku punktach naszego kraju (Koło, Mazowieckie itd.), ale nigdzie nie zabrały znaczniejszej liczby ofiar. Takiż sam przebieg ma epidemia w całej Europie. Daje znaki życia w Austryi, Niemczech, Francyi, Hiszpanii, Włoszech — wszędzie niezbyt sroga, bo wszędzie okiełznana. Nieprzyjaciele dezinfekcyi mówią o wyczerpaniu się sił zarazka. Dlaczegóż ten tylko tak się postarzał i osłabł, dlaczego szkarlatyna lub suchoty, równie dawno trapiące ludzkość, okazują jeszcze tyle zabójczej energii? Widać coś innego jeszcze wpłynęło na stłumienie cholery, a owo coś innego — to chyba tylko cały arsenał środków zapobiegawczych, którym dziś świat ucywilizowany wojuje ze starym wrogiem.

Filuterny zakaz.

Jak wiadomo, w Niemczech skutkiem długotrwałych upałów okazał się brak paszy, którą też natychmiast wysłani agenci zaczęli u nas kupować i wywozić. Ostrzeżenie pism, skierowane do naszych rolników, ażeby nie dali się zbałamucić wysokiemi cenami tego produktu, którego im samym nie starczy, nie wywarły prawie żadnego skutku. Jak donoszą korespondenci prowincyonalni, przez niektóre punkty graniczne przechodziły dziennie tysiące fur z sianem. Dzięki temu pośpiechowi z jednej, a lekkomyślności z drugiej strony wpłynęła do Niemiec ogromna masa paszy, która prawdopodobnie pokryje ich potrzeby. Mówimy: prawdopodobnie, gdyż urząd kanclerski polecił dla tych transportów zamknąć granicę z powodu... cholery. Filuterność tego, zresztą dla nas bardzo pożądanego zakazu jest aż nadto widoczną. Dopóki niemcy nie zaopatrzyli się w paszę, ruska cholera, mimo że np. w gubernii podolskiej grasowała szeroko, nie była straszna; dopiero gdy napełnili stodoły i magazyny sianem i słomą, natychmiast uczuli potrzebę zamknięcia drzwi przed zarazą, która ani w sianie, ani w słomie nie zwykła podróżować. Korzystniej byłoby dla niemców wcale paszy nie obciążać zakazem, ale kanclerz musiał i wilka nasycić i owcę pozostawić nienaruszoną. Mianowicie trzeba było nie popsuć zbytecznie zarobku swoich ziemian, który mają coś w tym rodzaju do sprzedania, a którzy mogliby wystawić rachunek swych pretensyj przy głosowaniu nad nowymi podatkami dla pokrycia wydatków wojskowych. Jak rzekliśmy, naszym interesom ten zakaz nie szkodzi, przeciwnie bardzo im pomaga, kraj nasz bowiem posiada stosunkowo za mało inwentarza, a więc nic ma na zbycie paszy. Że lekkomyślne ręce powstrzymano w rujnującym handlu, wcale o to się nie gniewamy.

Powodzie.

Jak gdyby dla ściągnięcia haraczu, który nas ominął w wylewach wiosennych, koniec lata otworzył upusty niebieskie i spuścił niebywałe potoki deszczu, które zrządziły szereg szkód dotkliwych. Najwięcej ucierpiał Kazimierz (nad Wisłą), którego domy i pola zostały zalane a po części zupełnie zniszczone. Korespondent *Gazety polskiej* tak maluje zalew tego miasta i okolicy.

„Zburzenie domostw jest tylko częścią klęski ogólnej, ale dość rozejrzeć się po polach, aby doniosłość jej dla ubogiego rolnika ocenić. Ile na własne oczy widziałem, wzdłuż brzegów Wisły, od wsi Męćwierza aż po Włostowice, czyli na przeszło dwumilowej przestrzeni nawała wody padającej prostopadle z nieba w połączeniu z potokami walącymi z gór, zalała i zamuliła do szczętu wszystkie zasiewy, częścią pożęte na garściach i w snopkach i spławiła je do Wisły, częścią na pniu stojące znękała; widziałem całe pola założone zczerniałem żytem i owsem w snopkach, których nie zdołano uprzątnąć. Zamulone też stoją pastwiska i koniczyny, wszystkie dolne sady mają mułu na pół łokcia grubo u stóp swoich drzew owocowych. Najwięcej pod tym względem ucierpiał sam Kazimierz, tudzież wsie Bochotnica i Parchatka, zawsze w tych razach najnieszczęśliwsze. W Kazimierzu runęła część wielkiego muru kamiennego, który ochrania ogród poreformacki; zrobił się tedy *pendant* do wyłomu, utworzonego przed kilku laty z przeciwnej strony. Mury zamkowe (wbrew temu, co pisano w *Kur. warsz.*) ocalały. Klęskę tylko pomnożyło rozszarpanie wszystkich dróg, na których potworzyły się wyboje i istne przepaście, zwłaszcza w wąwozach. W chwili kiedy to piszę, deszcz, który zawiesił swą czynność na pewien czas, znowu się rozpanoszył i prowadzi dalej dzieło zniszczenia.

Najsmutniejsza z tego wszystkiego, że wobec takiej klęski nikt się tu, ale to literalnie nikt, nie poczuwa do obowiązku przyjścia z pomocą, choćby najbardziej poszkodowanym i najnędzniejszym. Zamożność przechodzi obojętnie koło nędzy i zostawia ją własnemu przemysłowi. Przeciwnie, zdarzyła się jedna osoba (jakżeby mi przyjemnie było wyjawić jej nazwisko), która, pochwyciwszy płynące ulicą nadrzeczną pod swą posesyą cudze ule, powybierała z nich miód na własny użytek i poszkodowanemu nie zwróciła. Nie dziwna to wreszcie rzecz w etyce kazimirskiej, która w rocznikach swych dużo podobnych faktów asymilacyi notuje, zwłaszcza co do warzyw i owoców, zarazem bardzo podejrzanych pożarów nie zapominając.“

Daleko większa klęska — jak zwykle — dotknęła Galicyę. Oprócz Zakopanego,

gdzie potoki górskie odcięły tę miejscowość od świata a chwilowo groziły ruiną willom, liczne wsie podkarpackie formalnie zatonęły w powodziach. Oto hiobowe wieści nadchodzące stamtąd do pism tutejszych: San i Wiara zalały 40 gmin, unosząc na falach zboże, drzewo i budynki. Woda na Sanie (13 b. m.) dosięgła sześciu metrów nad poziom normalny. Podobnie Dunajec zatopił przyległe grunty na metr wysokości. W Turce 22 domy popłynęły z wodą a przeszło 200 zamulonych i zniszczonych. Straty milionowe, a okropności klęski nie złagodzi 5,000 złr. ofiarowanych przez cesarza i tyleż przez Lwów. Ciągle od lat wielu powtarzana a w Wiedniu nigdy niewysłuchana sprawa regulacyi rzek galicyjskich wydawać nam się może nieraz tradycyjną zwrotką, śpiewaną dla urozmaicenia programów politycznych. Dopiero podczas wylewów pojmujemy jej istotne znaczenie. Jeżeli zaś dziwimy się, jakim sposobem istnieją właściciele drobnych gospodarstw i winnic, przyczepionych na ścianach Wezuwiusza, to doprawdy jeszcze trudniej zrozumieć, jakim sposobem utrzymuje się w walce o byt chłop podkarpacki. Wezewiusz bowiem wybucha i niszczy siedziby ludzkie raz na kilka lub kilkanaście lat, a rzeki galicyjskie wylewają corocznie. Dodawszy do tej stałej klęski najuciążliwsze warunki ekonomiczne, naturalne ubóstwo ziemi, niemiłosierny fiskalizm w opodatkowaniu — staniemy wobec nierozwiązalnej zagadki istnienia chłopa galicyjskiego.

Podobno skutkiem tych nieszczęść manewry z obecnością monarchy zostały odwołane. Zasmuciło to wielce tych, których bieda nigdy nie bodzie i którzy zarówno najwyższe szczęście, jak najwyższy rozum polityczny widzą w demonstracyach zbytkowych. Na zapomożenie ludu, ginącego z głodu i nędzy, są za skąpi, ale na urządzenie festynów śród tej niedoli dość odważni. Zaisto na to potrzeba dużej odwagi!

Regaty.

Podczas gdy porzeczanie ze smutkiem oglądali straszny obraz skutków powodzi, my bawiliśmy się wesoło wyścigiem rozmaitych bąków, hamburek i skulingów na Wiśle. I cóż wam o tym turnieju opowiem! Z kilku łodzi zawsze do mety jedna przyszła pierwsza. A jednakże znawcy utrzymują, że ta walka zapewniła im wiele wzruszeń swojemi niespodziankami. Mianowicie byli oni przekonani (muszą mieć na to jakąś zasadę), że zwycięży p. Waligórski, tymczasem zwyciężył p. Sierzputowski, a p. W. pozostał „bez miejsca" i musiał przepłynąć pod znakiem „hańby wioślarskiej." Podobnie zawiódł nadzieje p. Deniszczuk, pokonany przez p. Strasburgiera. Wogóle gdyby przy rogatach funkcyonował totalizator, „faworyci" naraziliby swoich wielbicieli na wielkie straty.

A jednak, chociaż bawiliśmy się dobrze, żałujemy wielce, że Towatrzystwo wioślarskie nie urządziło wyścigu od mostu warszawskiego aż do Kazimierza. Która załoga przybyłaby tam pierwsza i przywiozła w łodziach coś, co przydać by się mogło powodzianom, zasłużyłaby istotnie na złoty medalik. Niestety, wesołe Towarzystwo postanowiło nie zasmucać się widokami klęsk, zrządzonych przez jego żywioł i nie włączyło do swych zadań niesienia pomocy tym, którzy w wylewach toną i tracą całe mienie.

Kolonizacya żydowska.

Jeśli jest u nas taki żyd, który nie uważa się za szczęśliwego a miałby za co pojechać do Argentyny i siedzi na miejscu, to albo nie czyta pism i sprawozdań z osad b. Hirscha, albo im nie wierzy. Alež tam — według pułkownika Goldsmitha — jest prawdziwa, biblijna ziemia obiecana, wobec której handelek starzyzną lub śledziami, jedna brudna izba i dwie cebule dla pięciorga osób, a nawet kugel na szabas — to piekło Dantejskie. Z ostatniej korespondencyi pełnomocnika Hirsza dowiadujemy się bardzo ciekawego szczegółu. Przywykliśmy wysławiać i przeklinać solidarność żydów, ich wrodzoną nienawiść do „gojów" i uległość tylko swoim przełożonym. Otóż pułkownik Goldsmith skarży się na niezgodę kolonistów i zaznacza, że najspokojniej zachowują się to osady, któremi zarządza chrześcianin, używający śród żydów wielkiego szacunku a jego żona wielkiej czci. Miałażby się natura naszego izraelity do gruntu zmienić za oceanem? Niezależnie od powodów czysto miejscowych, warto uważnie śledzić rozwój emigracyjny do Argentyny, gdyż jest on jednym z najdonioślejszych procesów kulturalno-historycznych, jakie w naszych oczach się poczęły i stanowią zawiązek nowego organizmu etnologicznego.

Oszuści.

Przed trzema laty odbywały się w Królestwie operacye finansowe, polegające na tem, że potrzebującym pieniędzy proponowano zyskowną wymianę prawdziwych banknotów na kilkakroć większą ilość podrabianych. Na dowód dobroci ostatnich dawano banknot (oczywiście prawdziwy) dla wymiany w jakim sklepie. Zachęconą w ten sposób ofiarę zwabiano do jakiegoś odludnego kąta i tam następowała sprzedaż fałszywych pieniędzy. Nabywca w pośpiechu i strachu umykał jaknajprędzej z otrzymaną paczką, która następnie okazywała się zwyklym papierem, obłożonym z dwóch stron banknotami. Pomimo swojego odkrycia oszukany nie mógł pociągnąć do odpowiedzialności oszustów, ponieważ sam przyjmował udział w karygodnych sprawach i tym sposobem sprytni wydrwigrosze prowadzili bez przeszkód swoje operacye. Widocznie okazały się one na tyle korzystne, że rozszerzono ich zakres. *Birż. Wied.* donoszą o podobnej praktyce w gub. wołyńskiej, która powiodła się mniej szczęśliwie, gdyż zakończyła ujawnieniem szachrajstwa. Powodem tego był krewki temperament dymisyonowanego żołnierza, który do korzystnego zakupu przystąpił z wypożyczoną u sąsiadów kwotą. Mniej lękliwy od innych pomimo przynaglania do ucieczki, obejrzał na miejscu otrzymaną paczkę, a poznawszy oszustwo, narobił takiego hałasu, że sprzedający zagrozili mu śmiercią, a gdy to nie pomogło, zwrócili pieniądze i uciekli, zostawiając na placu dowód swego zajęcia — paczkę papieru z dwoma banknotami. Oszukano wielu przeważnie na 200 lub 300 rs. Świadczy to, że od fałszowania pieniędzy wstrzymuje głównie trudność ukrycia się, a chętnych jest dosyć.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ROLA DZIEJOWA RYNKÓW.

Zdobycze kolonialne stale figurują od wielu lat w *menu* politycznem państw europejskich. Telegraf ciągle rozbrzmiewa nazwami jakichś odległych i zapadłych kątów świata, jak Sudan, Dahomej, Tonkin, Afganistan, Bangkok — gdzie rozmaici Gordoni, Stanleye i Humann'i odnoszą zwycięztwa lub klęski. Gdzie tylko pozostał jeszcze kawał ziemi, której ludność za słabą jest do odparcia karabinowych błysków cywilizacyi, wnet wyciągają się po nią pożądliwe ręce. Prasa europejska wylewa czasem po kilka łez atramentowych nad losem wygniatanych dzikusów, pomimo to jednak występują coraz nowe iskrzące bagnetami kolumny wojska, aby w jakimś państewku afrykańskim zdziesiątkować półnagą i bezbronną ludność i na zgliszczach rodowego ustroju zasiać ziarna cywilizacyi kupieckiej. Polityki kolonialnej trzymają się państwa bez względu na panującą w nich formę rządu; wygłaszane hasła humanitarne nie przeszkadzają wcale rabować swoich czarnych bliźnich.

O celu podobnych wypraw wiedzą nawet dzieci; Europie potrzeba nowych rynków. Jakaż jednak fatalność zmusza do szukania ich, do zapuszczania się w niedostępne dotychczas i zabójcze dla zdrowia głębie Afryki, do zraszania ich krwią własną i tubylców? Odpowiedź na to mieści się w warunkach rozwoju współczesnego wytwarzania.

Społeczeństwo kapitalistyczne, przy istniejącym podziale bogactw, nie jest w stanie zakupić wszystkich, wyprodukowanych przez siebie towarów. W procesie wytwórczo wymiennym biorą udział przedsiębiorcy, robotnicy i handlarze, przez których ręce przepływa, otrzymana ze sprzedarzy fala pieniężna. Wszyscy inni (urzędnicy wojsko, rozmaici rentyerzy itd.) są opłacani przez pierwszych. Cena zatem ogółu produktów danej kampanii musi być tak wysoką, aby pokryła owe pozycye. Gdyby nikt pieniędzy, otrzymanych z poprzedniej sprzedarzy, nie zaoszczędzał — cała masa towarów byłaby sprzedaną. Ale tak nie jest. Przeciętny kapitalista tylko część swojego zysku używa na własne potrzeby, resztę zaś odkłada, żeby gromadzić kapitały pieniężne. Jeżeli więc cena ogółu towarów jest a + b, kapitaliści zaś kwotą b zaoszczędzają, to kto zakupi pozostałą na rynku część produktów na tę sumę? Kupi ją jakiś X.

Owem X. jest ktoś, co kupił, ale nie sprzedał, co kupił więcej, niż sprzedał lub sprzedał ze stratą. Sumę więc powyższą pokryją: 1) każdy, kto się w jakikolwiek sposób rujnuje, tj. żyje nagromadzonym poprzednio zasobem; 2) wzrost produkcyi; kapitaliści część swoich poprzednich zysków włożą w rozmaite przedsiębiorstwa, będą się budowały fabryki, koleje, domy itd., a więc zakupią rozmaite materyały budowlane i żywność dla robotników. Cała jednak zaoszczędzona suma nie pójdzie na to, gdyż część jej musi pozostać dla puszczenia w ruch nowo-powstałych zakładów przemysłowych. 3) Przyrost pieniężny. Ogólna masa pieniędzy w danym kraju zwiększa się: albo przez wydobywanie szlachetnych metali i oddawanie ich do mennicy dla przebicia na monetę, albo przez rozradzanie się banknotów, albo przez dopływ z zewnątrz, wywołany handlem. Przyrost ten jednak wtedy tylko może się przyczynić potężnie do zakupienia reszty pozostałych na miejscowym rynku towarów, gdy użyty zostanie na dalszy rozwój produkcyi, kiedy porobią się za niego zakupy materyałów, potrzebnych do budowy i produktów dla utrzymania pracujących przy wznoszeniu rozmaitych instytucyj robotników. Zdobyte jednak powyższą drogą pieniądze nie są wcale zobowiązane do zwrócenia się w pożądanym kierunku. Produkcya współczesna napotyka na drodze swojego rozwoju rozmaite tamy i zgromadzone pieniądze mogą doskonale pleśnieć w kasach lub emigrować wraz z posiadaczem za granicę. Oprócz tego kruszce znajdują się nie wszędzie i w ograniczonej ilości, obecna zaś ewolucyjna forma pieniędzy papierowych nie nawiązała jeszcze ścisłego łącznika między pojawieniem się swojem a potrzebami rozwoju produkcyi.

Ażeby więc na miejscowym rynku zakupiono całą ilość wytworzonych towarów — musi ktoś rujnować się i musi gdzieś rozwijać przemysł, który zależnym jest od poprzednich zysków i wzrasta na nich; żeby zaś ten zysk istniał, trzeba, aby towary

zostały sprzedane, trzeba więc, żeby istniała ruina i przyrost pieniężny każde zosobna lub razem. Gdy przyrost ten nie istnieje, kapitaliści gromadzić mogą kapitały pieniężne tylko wydzierając je sobie nawzajem — kosztem własnej ruiny, i chwila ta przyczyni się do scentralizowania ich. Przyciśnięci warunkami przedsiębiorcy szukają zbytu dla swoich towarów i źródeł dopływu pieniężnego, podążając utartą przez wieki drogą ku zewnętrznym rynkom.

Na tle zdobytego przyrostu pieniężnego rozwija się dalej przemysł i środki techniczne wytwarzania. Udoskonalenie jednak ostatnich, potęguje znowu poprzednie położenie. Weźmy jakie społeczeństwo, posiadające n robotników wytwarzających w jednostce czasu (w ciągu roku) towarów: na sumę P, które zakupią sami za swoją płacą roboczą, na sumę Z, które zakupią przedsiębiorcy, kupcy rentyerzy itd. i na sumę R, przeznaczonych na rynek zewnętrzny dla zdobycia nowych środków organizacyjnych — pieniędzy. (Ludność takiego społeczeństwa kupuje nie tylko własne towary, ale i obce. Przypuszczamy jednak, że na rynkach zewnętrznych sprzedaje ono więcej niż nabywa i dlatego obce towary zdobywane są drogą prostej wymiany produktu na produkt, co nie zakłuca wcale stosunku wytwórczości do spożycia w danem społeczeństwie). Wytwórczość więc tu wyrazi się sumą towarów $P + Z + R$. Taką ilość ich dozwalają produkować istniejące warunki rynkowe.

Ale oto pojawiają się ulepszenia, wskutek czego wytwórczość jednostki pracy ludzkiej i cena jej produktów wzrosła. Zatem n robotników wytwarzać będzie więcej, co się wyrazi sumą towarów $P + Z + R +$ jakieś W. Zdolność jednak nabywcza rynku nie wzrosła jednocześnie z wytwórczością pracy, płaca robocza pozostała w poprzedniej wysokości i robotnicy, główna siła rynkowa, mogą nabyć, jak i dawniej, towarów na sumę tylko P. Tym sposobem ilość ich na sumę W pozostałaby niesprzedaną i produkcya musi się odpowiednio ścieśnić, aby za pomocą swoich ulepszonych metod wytwarzać tylko poprzednią ilość towarów $P + Z + R$. Ale teraz, przy zwiększonej wydajności pracy, nie potrzeba będzie do tego n robotników, lecz mniejsza ich ilość, $n - l$. Zatem l robotników muszą być wyrzuceni z produkcyi, co będzie powodem nowego zwężenia się rynku; pozbawieni bowiem pracy nie tylko zaczynają coraz mniej kupować, ale współzawodnictwem swoim obniżą płacę zajętych w produkcyi, którzy z tego powodu będą również nabywali mniej. Zdolność więc nabywcza rynku zmniejszy się, produkcya zaś zostanie zmuszoną znowu przystosować się do tych zmniejszonych jego wymagań i w dalszym ciągu wytwarzać się będzie $(P + Z + R) - K$ towarów. Ażeby to jednak nastąpiło przy danej wytwórczości pracy i długości jej trwania w ciągu dnia, musi być znowu wyrzucona z produkcyi pewna ilość robotników, co również spowoduje w dalszym ciągu redukcyę zdolności nabywczej rynku i produkcyi, i proces ten będzie miał dążność do ciągłego potęgowania się.

W rozpatrywanym zatem wypadku ulepszenia techniczne, któreby powinne wywołać rozrost produkcyi — wskutek nierównomiernego zwiększania się wytwórczości i płacy roboczej powodują zwężenie jej. Produkcya zyskuje możność techniczną szerokiego rozwoju, ale napotyka przeszkody w systemie swoim. Jest to zemstą pracy ludzkiej za upośledzone jej stanowisko. Obecne społeczeństwa cywilizowane przechodzą właśnie fazę wynalazków i ulepszeń w produkcyi i proces powyższy nierównomiernego wzrostu wytwórczości i spożycia oraz wynikającego ztąd wyrzucania nadmiaru sił roboczych ostrzej lub łagodniej przejawia się wszędzie. W Anglii np. od r. 1871 do 1881 ludność wzrosła o 10%, wytwórczość o 200,000,000 funtów sterl., ludność zaś produkcyjna (obliczona z rodzinami) zmniejszyła się o 1,000,000 osób. (W tymże czasie służba prywatna (z rodzinami) zmniejszyła się o milion osób, żebractwo zaś wzrosło o 36%. Wyjaśnia to nam, co się stało z wyrzuconymi na bruk). Podobnież w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej w ciągu dziesięciolecia od 1870—80 r. wytwórczość wzrosła o 58,6% dawnej swojej ogólnej masy, ilość zaś robotników tylko o 33% *). Tutaj więc mimo ogromnego wzrostu wytwórczości, robotników jeszcze nie zaczęto wyrzucać dzięki różnym sprzyjającym rozwojowi produkcyi warunkom. Wobec tego, przedsiębiorcy narażeni są na utratą miejscowego rynku; podwyżka płacy roboczej równa się rozszerzenie jego, ale posiadają oni o wiele przyjemniejszy środek zaradczy — rynki zewnętrzne.

Potrzebę rynków podnosi jeszcze okoliczność, że z procesem rozwoju produkcyi związane jest tanienie pieniędzy względem wytworu jednostki pracy ludzkiej (dnia roboczego). Jeżeli np. rękodzielnia zamienia się na fabrykę mechaniczną, produkty jej będą owocem pracy znacznie zmniejszonej ilości robotników, podczas gdy cena ogółu wytworu pozostanie taka sama lub wzrośnie (pojedynczy towar stanieje, ale robotnik będzie wytwarzać ich więcej). Dzieje się to skutkiem tego, że fabrykant musi rachować się z kapitałem, a nie wyłącznie z ilością pracujących ludzi i do takiego właśnie rachunku przystosowywa się cena towarów. Przy tanieniu zaś pieniędzy zachodzi potrzeba dopływu ich, zwiększenia ogólnej masy.

Rynki więc przedstawiają się jako uniwersalne lekarstwo na wszelkie niedomagania produkcyi, pochodzące z napotykanych przeszkód w jej rozwoju. Są one przedmiotem gorących westchnień wszystkich społeczeństw, gdzie tylko panuje gospodarka pieniężna. Zdobycie ich dla wielu jest sprawą istnienia i dlatego nie ma chyba ofiar za wielkich, któreby ponieść chciały, a rozmaite kwestye humanitarne dla polityków szerszego zakresu grać mogą jedynie rolę przy trawieniu obiadów. Zobaczmy jednak, o ile zalecane zioło przynosi rzeczywiście ulgę i daje zdrowie społeczeństwom.

(D. n.).

*) Dr. George Stibeling, Das Werthgesetz und die Profit-Rate, New-York.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Obrady cukrownicze. Na zjeździe cukrowniczym w Petersburgu, odbytym z powodu oczekiwanego urodzaju buraków, dla zapobieżenia nadprodukcyi, minister skarbu Witte wyjaśnił obecnym zamiary i widoki rządu względem obniżenia poziomu cen na cukier. Dotychczasowe wywożenie nadmiaru za granicę odbywa się na niezbyt korzystnych dla syndykatu warunkach, a równocześnie producenci północni, stojący po za obrębem związku, toczą z nimi zaciętą walkę. Zalecając wytwórcom cukru, wobec upływającego w r. p. terminu konwencyi, zjednoczenie się w interesach spożywców, p. minister przyrzekł możliwe poparcie rządu w sprawie rozwoju tej gałęzi przemysłu. Cukrownictwo przynosi skarbowi 40 milionów rs. rocznego dochodu, rząd więc pragnie uwzględnić jego potrzeby. P. minister proponuje obmyślenie nowego planu umowy, opartej na zasadach słuszności, a więc ogarniającej wszystkie bez wyjątku fabryki cukru (dotychczas 22 nie należą do syndykatu), rząd zaś ze swej strony poczyni pewne ulgi, jak odroczenie opłaty akcyzy od pozostającego jeszcze w fabryce cukru i udzielanie kredytu w Banku państwa na ten produkt. P. minister wyraził nadzieję, że fabrykanci nie będą się starać o podwyżkę ceny i nie zmuszą tym sposobem rządu do zakupów za granicą, praktyka bowiem wykazała, że nabywanie cukru zagranicznego oddziaływa szkodliwie na interesy produkcyi miejscowej. Wnioski swoje p. minister polecił roztrząsnąć obecnym i na zjeździe cukrowników w czasie kontraktów kijowskich w r. p. przedstawić nowy plan uregulowania produkcyi, dokąd będzie wysłany ze strony rządu p. Markow, dyrektor departamentu dochodów niestałych.

— Od 7-go sierpnia obniżona będzie taryfa kolejowa dla przewozu drzewa zagranicę. Powodem jest oclenie tego materyału w Niemczech, dokąd wywóz jego stanowi 40% ogólnej cyfry. Podwyżka cła nastąpiła w chwili, kiedy drzewo podążało już drogami wodnemi na zagraniczne rynki. (*Birż. Wied.*).

— Otwarto na Pradze stacyę izolacyjną dla podejrzanej co do stanu zdrowia trzody chlewnej.

— W okolicy Solca wkrótce będzie w ruchu nowa fabryka pobielania (powlekania cyną) blachy żelaznej, t. z. angielskiej, dotąd sprowadzanej z zagranicy.

— Fabrykanci łódzcy po wzajemnem porozumieniu, podnieśli cenę wyrobów wełnianych, bojków, drelichów, kamgarnu i innych od 5 do 15%. Jest to następstwo wzrostu w ostatnich czasach płacy roboczej.

— W Galicyi powstało kilka nowych przedsiębiorstw nafcianych.

— W Krymie odkryto w okolicach Bachczysaraju pokłady ze śladami złota i srebra. Na Kaukazie robią się w tym kierunku poszukiwania.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Zarząd stadnin rządowych przyjmować będzie do każdego ze swoich zakładów po 5 chłopców wiejskich w wieku od 15-tu do 18-tu lat i uczyć ich zasad weterynaryi. Nauka pięcioletnia i bezpłatna. Kończący otrzymają odpowiednie świadectwa. (*Now. wr.*).

— Przy szosach kutnowsko-kaliskiej, łódzko-kaliskiej i krakowskiej powstaną plantacye drzewek owocowych. Jeżeli próby się powiodą, wprowadzone będą i przy innych szosach. Uwzględniono przeważnie czereśnie i śliwki węgierskie.

— Postanowiono, że nieobecność robotnika w fabryce wynosić może najwyżej 6 dni miesięcznie, dwutygodniowa zaś, bez względu na powody, daje prawo zerwania umowy. Dotychczas mogło to nastąpić po trzydniowej nieobecności robotnika, co pozwalało na kilkakrotne wydalanie się z fabryki w ciągu miesiąca. Nie wolno będzie również robotnikom zrywać umowę z powodu upłynięcia terminów paszportowych (*Birż. wied.*).

— Kijowska rada miejska uchwaliła zabezpieczenie życia walczących z epidemią lekarzów sanitarnych na 5,000 rs. i felczerów na 1,000 rs.

— Ministeryum sprawiedliwości zajmuje się sprawą, do kogo należy wymierzanie kar cielesnych, do sądów czy też policyi gminnej. (*Birż. wied.*).

— Próby szczepienia księgosuszu owcom dały w gub. Ekaterynosławskiej wyniki pomyślne, wskutek czego szczepienia ochronne stosują się tam obecnie na szeroką skalę.

— *Warsz. Dniew.* donosi o aresztowaniu w pow. łukowskim dzierżawcy majątku, Stanisława Wiktora Dolbni, który pod przebraniem księdza robił tajemne wycieczki, wypełniając obrządki religijne dla nieutwierdzonej jeszcze w wierze prawosławnej ludności, udzielając ślubów, chrztów itd. Wyruszał on zwykle, poprzedzany przez swoich wspólników, mieszkańców okolicznych wsi, którzy ogłaszali o mającem nastąpić przybyciu katolickiego księdza. Zdążył dać ślub 13-tu parom i ochrzcić 210 dzieci.

— Główny zarząd poczt i telegrafów polecił wprowadzenie na wszystkich stacyach kolei żel. sprzedaży marek i blankietów pocztowych.

Szkoły. Opłata w internacie przy gimnazyum kieleckiem wyniesie 200 rs. rocznie, wnoszona co pół roku z góry, a nadto 10 rs. jednorazowo na urządzenie się. Uczniowie otrzymają kwaterę, stół, korepetycye, pomoc lekarską i pranie. Stancye prywatne będą zniesione.

— W Walii powstać ma nowy uniwersytet, w którym dostępne będą dla kobiet wszystkie stanowiska, nie wyłączając rady i senatu akademickiego.

Sprawy kolejowe. Rozstrzygnięto sprawę dalszego istnienia towarzystwa kolei Południowo-Zachodnich. Wykup będzie odroczony na 15 lat. (*Now. wr.*).

— Dla robotników i emigrantów wprowadzone będą na kolejach specyalne pociągi, a żywieniem ich zajmie się zarząd kolejowy za bardzo nizką opłatę. (*Now. wr.*).

— W Żytomierzu poruszono znowu myśl połączenia go koleją pomocniczą z linią Południowo-zachodniej. Miasto gotowe dać bezpłatnie ziemię pod stacyę kolejową. (*Birż. wied.*).

Wystawy i zjazdy. W Kijowie otwarto zjazd leśników, w Wilnie archeologów.

— W Japonii otwarte będą stałe wystawy towarów ruskich (*Now. wr.*).

Zdrowie publiczne. Zamiast projektowanego powiększenia kilku szpitalów w gub. warszawskiej, otwarte będą dwa nowe ogólne, z osobnymi odziałami dla chorych zakaźnych.

— Ustanowiono czasową posadę lekarza dla badania zdrowia robotników, pracujących na Wiśle.

— Według *Warsz. Dniewn.* w Królestwie epidemia się zaznaczyła: w gub. łomżyńskiej w osadzie Czyżewo i Mazowiecku, i kaliskiej we wsi Rzuchowie i mieście Kole. W ostatniem 16 sierpnia zachorowało 18 osób, zmarło 10 i pozostało chorych 37.

— W Galicyi do 13 b. m. zachorowało na cholerę w pow. nadwórniańskim, kołomyjskim i rawskim 13 osób a zmarło 8.

— Pojedyncze wypadki cholery pojawiły się w Berlinie.

Wypadki. W Galicyi powódź zrządziła znaczne szkody, szczególnie zaś w Przemyślu i Turce. Woda poniszczyła zasiewy, porywała wiele domów, mosty kolejowe, popsuła drogi i przerwała komunikacyę. Wiele ludzi zginęło.

— Prąd wezbranej rzeczki, przepływającej środkiem Kazimierza, zerwał trzy mosty i zniszczył wiele domów.

Dobroczynność publiczna. Zatwierdzono zapis zmarłej E. Matyanek, przeznaczający 6,000 rs. na powiększenie funduszu dla nauczycielek i 6,000 jako kapitał, od którego odsetki służyć mają na wsparcia dla wdów i sierot po artystach muzycznych wyznania rzymsko-katolickiego.

Zmarli. Znany nerwopatolog Charcot, kierownik szpitala dla chorych nerwowo „Salpetrière" w Paryżu i twórca szkoły tegoż nazwiska.

— A. E. Blanche, psychiatra francuski, kierownik domu zdrowia dla waryatów w Passy i twórca nowoczesnego prawodawstwa dla obłąkanych.

— Młody człowiek, życzący wykształcić się w fabrykacyi kortów i wogóle poznajomić się z fachem tkackim praktycznie i teoretycznie, może zgłosić się do powiadomienia o bliższych warunkach: Hoża Nr. 14, mieszk. Nr. 2, pomiędzy godz. 10-tą a 12-tą.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 13 Августа 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.